ARKONA

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY KULTURZE I SZTUCE

NR 4 | BYDGOSZCZ — LUTY | ROK 1946

Aleksander Dzienisiuk

NA SKRZYŻOWANIU IDEOWYCH DRÓG

I.

Głębsze wniknięcie w atmosferę odradzającego się dzisiaj naszego życia kulturalnego pozwala, pomimo wyraźnego ścierania się odmiennych światopoglądów, żywić optymistyczne przekonanie, że uniknie ono kryzysu i chaosu ideologicznego, jaki miał miejsce u schyłku dziewiętnastego i początku dwudziestego wieku. Równoczesne fermentowanie wielorakich teorii i systemów filozoficznych we wspomnianym wyżej okresie, w którym rywalizowały ze sobą różne odcienie materializmu, oraz metafizyka i idealizm, w szczególności neokantyzm i neoheglizm, budziło częstokroć rozterkę i dręczące wahania w umysłowości ludzkiej, wtrącając ją w otchłań dekadenckiej nudy, przesytu, zwątpienia i apatii. Biada epokom, które popadły w rozgardiasz ideologiczny, gdyż w jego wnętrzu dojrzewały najpotworniejsze poglądy. W kłębowisku rozmaitych teorii ginęła bezgłośnie myśl postępowa, w cień i zapomnienie odchodziły rodzące się tendencje równości i braterstwa ludów, nie mogąc dostatecznie przeciwstawić się narastaniu niezdrowej odrębności narodowej, stwarzającej grunt podatny pod siejbę nacjonalizmu i rasizmu, graniczącego w swej metafizycznej koncepcji z absurdem i nonsensem. Ludzkość zapłaciła krwią i życiem zabyt późne opamiętanie. Dziś po świeżej pożodze wojennej przystąpiła do odbudowy swego życia, wyposażona w gorzkie lecz zarazem nowe doświadczenie.

Jest sprawą oczywistą dla wszystkich, że na arenie naszego życia kulturalnego odbywa się starcie dwóch odrębnych światopoglądów — idealizmu i historycznego materializmu. Wszelkie bowiem separatystyczne zastrzeżenia spiritualizmu są jedynie nowym dowodem powikłań metafizycznego sposobu myślenia, nie dostrzegającego swej zasadniczej idealistycznej podstawy, przy której objektywnie istniejąca rzeczywistość odczuwa nad sobą prerogatyw myśli, utożsamianej z pojęciem najwyższego ducha.

II.

Dwutorowość naszego nurtu ideologicznego nie jest zjawiskiem nowym, nie powstała w walce z historycznym materializmem dziewiętnastego wieku, jakby się częstokroć mogło zdawać na podstawie enunciacyj współczesnej publicystyki. Jest ona logiczną konsekwencją odwiecznego dążenia człowieka do unormowania swego stosunku do otaczającej go rzeczywistości na zasadach, które by zapewniły mu trwałe warunki egzystencji i dostarczyły zadowalającej odpowiedzi, dotyczącej sensu istnienia wszelkich zjawisk. Problem ten jest tak dawny, jak dawna jest myśl ludzka i na przestrzeni wieków realizowano go bez przerwy drogą, wytyczaną przez siły wytwórcze, jakimi rozporządzał człowiek, od najprostszych narzędzi produkcji do współczesnych zdobyczy techniki. W dążeniu zaś do odkrycia sensu istnienia zjawisk przejawiało się żywiołowe pragnienie człowieka, wyrażone w sposób prymitywny wbrew postulatom późniejszej nauki i wobec tego skazane z miejsca na niepowodzenie i impas. Ono właśnie rozwinęło i wydoskonaliło w człowieku niemal do granic instynktu metafizyczny sposób myślenia, mający na celu nie wyświetlenie wzajemnego **związku i uwarunkowania się** zjawisk przyrody, znajdującej się w stanie ciągłego procesu i wynikających stąd praw, lecz badający poszczególne zjawiska **izolacyjnie** dla podania jedynie początku i racji ich bytu.

Niewspółmierna do zdobyczy eksperymentalnych człowieka trudność sugestywnego problemu siłą rzeczy pchnęła jego myśl, szukającą wyjścia z labiryntu, w krainę mistyki i fantazji. Życie i zjawiska przyrody uzależniono od potęg mistycznych („wszystko pełne bogów" — Tales — Arystoteles: „De Anima" I. 5.). Myśl ludzka pozbawiona więzów eksperymentalnej przedmiotowości cały swój wysiłek użyła na wyjaśnienie tych ponadzmysłowych czynników celem wpływania na nie i wywoływania ich działania. Świat fikcji zastąpił świat konkretnych zjawisk, zdolność mistyfikacji i fantastyki — tworzenie pojęć, będących odzwierciadleniem istotnych cech obiektywnej rzeczywistości. Wizja wyrugowała praktykę i stała się dla człowieka źródłem energii wzruszeniowo-emocjonalnej, torującej drogę ujścia dla jego ciekawej i badawczej myśli.

Consuetudo altera natura.

Nic więc dziwnego, że metafizyka, uchyciwszy raz intelektualne berło, nie łatwo dała się



KONSTANTY LASZCZKA — KOPERNIK

zdyskredytować, przeciwnie — wdzierała się w systemy idealistyczne od Platona do Windelbanda i Rickerta i stała się pożywką również kierunków materialistycznych od początku filozofii jońskiej (hylozoizm) do Lamettrie'go i nawet Feuerbacha. Stanowisko bowiem nauki, opierającej swą wiedzę na empirycznej weryfikacji, było niezmiernie trudne.

Już w starożytności wszakże daje się zauważyć do pewnego stopnia bunt przeciwko metafizycznej koncepcji świata. Tales pierwszy zdobył się na krok stanowczy i myśl ludzką, znajdującą rozwiązanie zagadki bytu w wyobrażeniach mitologicznych, sprowadził na ziemię i ukazał właściwy teren badań. Od wystąpienia Empedoklesa i Anaksagorasa oraz Leukippa i Demokrita, właściwych twórców materializmu w starożytności, rozpoczęła się zorganizowana walka ducha i materii o panownie nad światem, — walka dwóch systemów, bogatych w tradycję i dostojnych w powagę, bo przecież będących nieśmiertelnym świadectwem ustawicznej pracy myśli ludzkiej i jej dążeń do prawdy i szczęścia.

Walka stoczona zwycięsko przez Platona, pod silnym tchnieniem metafizyki i idealizmu, toczyła się burzliwym szlakiem dziejów i trwa po dzień dzisiejszy. ...Wzmaga się ona i przybiera na intensywności, jak zwykle w epoce powojennej, zdolnej swą śmiałą stopą obalać fetysze przeszłości i rzucać uwielbiane mity pod stopy nowych pokoleń. Kto wie, czy nie zmierza do decydującego rozstrzygnięcia? W każdym razie ostateczne zwycięstwo będzie zależeć nie tylko od wzniosłości głoszonych norm etycznych, ale przede wszystkim od stopnia ich realizacji.

III.

Inteligencja polska, a wśród niej i pomorska, z głębokim zainteresowaniem śledzi ideologiczną polemikę, jaka toczy się na łamach różnych czasopism, hołdujących odmiennym światopoglądom. Nie chodzi jednak w tej chwili o stawianie wieszczbiarskich hipotez, dotyczących przyszłości obu kierunków, lecz jedynie o obiektywną postawę wobec głosów epoki, jakiej jesteśmy świadkami. Pozwoli ona uniknąć jednostronności, uprzedzenia i ignorancji, które przeważnie prowadzą do irracjonalnych koncepcyj, starczej naiwności i ślamazarnego dreptania w miejscu. Pozwoli ustrzec się kaprysów sentymentalizmu i szablonu sztywnych form, wskrzeszanych z przeszłości, których kult prawem bezwładu odradza się w następnych pokoleniach z niesamowitą wprost siłą, równą sile tkwiącego w człowieku oportunizmu. Schematyzm psychologiczny działa w nas z precyzją automatu, nie pozwalając pominąć żadnego momentu swej funkcji, streszczającej się w odwiecznym: quod non intelligunt, metuunt, quod metuunt, oderunt.

Zazwyczaj, nie schodząc z popiołów przeszłości, roni się łzy nad minioną rzeczywistością i w konsekwencji srogo i gorzko płaci się za historyczną zwłokę i spóźnione przebudzenie.

O tym wszystkim warto pamiętać w chwili, gdy nauka przez swe nowe, imponujące zdobycze staje się coraz groźniejszym rywalem metafizyki, której wpływy powodują nieuniknioną kolizję z wiedzą. Moralny bojkot osiągnięć Kopernika, obalających geocentryczny system Ptolemeusza, oraz bagatelizowanie teorii doboru naturalnego Darwina są tutaj dostatecznym i wymownym przykładem.

Przedwczesne i zbyt optymistyczne okazały się skądinąd trafne słowa George'a Lewes'a, który we wstępie do swej „Historii filozofii" (druga poł. XIX w.) pisał: „Metafizyka była niegdyś dumą i sławą największych umysłów i dziś jeszcze stanowi ona znaczny żywioł wyzwolonego wykształcenia; — jednakże o jej obecnym upadku świadczą nie tylko skargi nielicznych zwolenników, ale także zwarte szeregi przeciwników. Niewielu już wierzy w jej sute obietnice, niewielu — jej poświęca namiętną cierpliwość, z jaką tysiące ludzi oddają się umiejętnościom. Codziennie zyskuje na sile przekonanie, że metafizyka wskutek istoty swej metody sama się skazała na wieczne błąkanie po krętym labiryncie, w którego ciasno zakreślonych oraz zawiłych przestrzeniach znużeni działacze odnajdują zawsze wydeptane ślady swoich poprzedników, co nie zdołali odkryć żadnego stąd wyjścia". „Mit XX wieku" i jego katastrofalne następstwa jeszcze raz potwierdziły nadal żywą potęgę metafizyki, która legła u podstaw ideologii, wyznawanej przez wielomilionowy naród.

Potrzeba obiektywnego spojrzenia jest nieodzowną. Stąd też majestatyczna przeszłość i blask idealizmu, zawarty w samym już brzmieniu wyrazu, nie może działać oślepiająco i z góry dyskwalifikować mniej znany dziejowy materializm, indentyfikowany przez tendencyjną myśl z bezbożnictwem i wulgarnym materializmem. Istotnie, idealizm poparty autorytetem chrystianizmu, ma olbrzymie tradycje i sięga do najgłębszych pokładów polskiej duszy i nikt nie może w chwili obecnej lekceważyć jego wpływu na umysłowość naszego społeczeństwa. Moment jednak krzyżowania się dwóch dróg, wiodących ku poszukiwanej prawdzie, moment decydującego starcia dwóch światopoglądów swą doniosłością daleko wykracza poza konwenans tradycji i poza skrupuły osobistych względów. Przebieg tego starcia niezawodnie wstrząśnie posadami całej cywilizacji, gdyż, jestem przekonany, że między obu prądami pomostu zbudować się nie da.

Stąd też analogia historyczna z okresu walki chrześcijaństwa z hellenizmem jest tu nieścisła i niewspółmierna. Padł wielki Olimp, runęły w gruzy posągi Jowiszów i świątynie cezarów. Daremnie ostatni pogański historyk Zosimos (V w.) przypisywał zgon „wiecznego miasta" odstępstwu od wiary przodków. Zgasł ostatecznie znicz Vesty na Forum Romanum, ale Platon i Arystoteles towarzyszyli pochodowi nowej kultury, Tucydydes — chrześcijańskiej historiografii, a Demostenes — wymowie. Ze szkoły wiernego Hellena Libanjusza wyszedł chrześcijański Demostenes — Jan Złotousty, Tucydydes wydał Prokopiusza z Cezarei, a „pogański" Himeriusz — św. Bazylego, św. Grzegorza z Nazjanzu i św. Grzegorza z Nissy.

Chociaż więc hellenizm w zakresie religii zrezygnował ze swej immanentnej aktualności (bóstwo istniejące w żywiole) na rzecz chrześcijańskiego pojęcia bóstwa transcendentnego (poza żywiołem), to jednak nie zatracił swych sił żywotnych, lecz wszedł jako element twórczy, do nowej kultury chrzecijańskiej. Czyżby i dziś ontologiczny monizm materializmu mógł torować drogę do kompromisu, poszukiwanego z pasją przez wielu filozofów, głoszących panteizm, zarysowujący się w poetyckiej wizji Słowackiego:

Boże, kto Ciebie nie czuł w Ukrainy
Błękitnych polach, gdzie tak smutno duszy,
Kiedy przeleci przez wszystkie równiny
Z hymnem wiatrzanym, gdy skrzydami [ruszy...

Z punktu widzenia historycznego materializmu, który, odrzucając substancjonalny byt ducha, uznaje wszakże obiektywny charakter duchowego życia, jako pewnego rodzaju refleks zorganizowanej materii, panteizm sprowadzałby się do gry pojęć, do metafory. Natomiast dla spirituализmu byłby rezygnacją z idealistycznego prymatu ducha i naruszeniem dogmatu o metafizycznym początku wszechrzeczy. Zasadnicza więc rozbieżność światopoglądów, wychodzących ze sprzecznych, choć równie problematycznych założeń, wyklucza możliwość kompromisu. I tu właśnie tkwi jedno z głównych źródeł niepopularności materializmu, który znalazł się w całkiem przeciwnym obozie.

IV.

Przygodnie poruszona została więc kwestia niepopularności materializmu. Świadczy o niej chociażby niewspółmierny blask imienia Platona w stosunku do Demokrita, twórcy mechanistycznego materializmu i ojca teorii atomistycznej w starożytności. Trzeba przyznać, że przedstawiciele materialistycznego kierunku czepiała się ze szczególną energią złośliwa legenda, głosząca smutny koniec ich żywota lub różne wady i upośledzenia. Autokrata na polu nauki Tertulian dowodził, że Demokrit dlatego się oślepił, że z powodu swego niepowściągliwego temperamentu nie mógł patrzeć na kobiety (Apologeticus § 46). O przewlekłej chorobie Epikura również krążyły najrozmaitsze uszczypliwe wersje, by ostatecznie dojść do wniosku, że „cała starożytność nie znała przykładu piękniejszej i czystszej wspólnoty życia jak Epikur i jego szkoła" (Albert Lange Hist. Fil. Mat. I 82 str.). Gorący zwolennik Epikura i jego wyznawca na gruncie rzymskim Lukrecjusz miał cierpieć na obłęd od miłosnego napoju i popełnić także samobójstwo. (Hieronim Eus. Chr. ad a. Abr. 1922).

Nie można naturalnie kwestionować prawdziwości wszystkich powyższych wersji, ale ich jednostronność i powszechność musi pobudzać do rozważań.

Niepopularność materializmu znajduje ponadto swe historyczno-społeczne uzasadnienie. Przy głębszym wniknięciu w istotę zagadnienia daje się zauważyć szczególne zjawisko, dotyczące funkcji społecznej materializmu jako światopoglądu pewnych grup lub klas. Materializm w historii społeczeństw służył przeważnie za narzędzie ideologicznej walki w ręku młodych, dojrzewających grup społecznych, w ich okresie bohaterskim. Zrodził się na wybrzeżach Jonii w czasie rozrastania się tam wskutek rozwoju handlu i rzemiosł greckich miast — państw oraz w momencie załamywania się ustroju rodowego starożytnej Grecji (Solon) i utrwalania się antycznej demokracji mieszczańskiej. Stał się więc światopoglądem nowej handlowo-rzemieślniczej klasy, zainteresowanej w rozwoju nauk przyrodniczo-matematycznych. (Tales — kupiec, matematyk, astronom). Deklasująca się arystokracja grecka żywiła niechęć do nowej mieszczańskiej rzeczywistości, a tym samym do materializmu i chętnie budowała swoje idealistyczne systemy, wysnute z kultu przeszłości. Ponad „gorzką i niesforną" rzeczywistość wznosił idealizm świat inny i stał się oparciem grup przejrzałych społecznie i nastawionych konserwatywnie, zwykle jednak cieszących się tradycyjną popularnością nawet wśród warstw niższych, dostatecznie klasowo nieuświadomionych. Podobnie materializm francuski XVIII wieku (Diderot, Helwecjusz, Holbach) przygotowywał grunt pod rewolucję demokra-

tyczno-mieszczańską i burząc dotychczasowe autorytety, godził w podwaliny ustroju feudalnego. Dalsza analogia dotyczy bezpośrednio współczesnej nam rzeczywistości.

Poza tym materializm, uzależniając świadomość ludzką od zjawisk zewnętrznego świata, konsekwentnie podkreślał zasadniczą rolę zbiorowości w historii i godził w mitologiczny kult indywidualizmu. Kult ten od czasu rozpadnięcia się gminy pierwotnej, rozwinięty do maximum wskutek niezdyscyplinowanego prawa własności, stał się prawdziwym bożyszczem następnych pokoleń. Wszelka myśl, podważająca jego autorytet, nie tylko ryzykowała swą popularność, ale nawet stawała się niepożądaną i wrogą zwłaszcza dla warstw posiadających. Nic więc dziwnego, że filozofia materialistyczna nie mogła liczyć na popularność ani w indywidualistycznej kulturze helleńskiej w warunkach greckiego separatyzmu państwowego ani w późniejszym okresie historii.

V.

Narody, które wyszły zwycięsko z ostatniej burzy wojennej, zdając sobie całkowicie sprawę zarówno ze szkodliwego przerostu indywidualizmu, jak też i z olbrzymiej doniosłości wyeliminowania konfliktu we wzajemnych stosunkach jednostki i zbiorowości, świadomie dążą usilnie do osiągnięcia niezbędnej harmonii drogą, wiodącą jednostkę przez solidarność społeczną do indywidualności czystej i podniosłej i odwrotnie, przez poszanowanie indywidualnych uczuć i dążeń **uspołecznionej** jednostki do wyrażenia sensu podstawowej problematyki socjalnej.

Dziś więc, gdy historia dostarcza nam dwudziesto-wiekowego konspektu dziejów, w czasie których padały największe autorytety, zmieniały się ustroje, zwietrzały „nienaruszalne" aksjomaty, twierdzenia i sądy, a to co było godziwe i etyczne w epoce niewolnictwa, uznane zostało za zbrodnię w feudalnym średniowieczu, potępionym z kolei przez czasy nowożytne — każda myśl absolutna, uparta i nieugięta, za którą kryje się płaski indywidualizm i interes zbankrutowanej ideologicznie grupy społecznej, nie ma widoków egzystencji, jako bezpodstawna i iluzoryczna. Skoro ludzkość periodycznie pogrąża się w zawieruchę wojenną, skoro niesprawiedliwość i wyzysk stanowi nadal problem naszego dnia, a egoizm, przybrawszy maskę obłudnego świętoszkostwa, trzyma się kurczowo zachwianych pozycji, w sferę wielowiekowej działalności najróżnorodniejszych światopoglądów ma prawo wkroczyć inny, również szczerze dążący do prawdy, zwłaszcza, że z tej sfery dotychczas nie ustąpiła „krzywda bliźniego", nad którą zbolały duch wniosłości załamuje wciąż daremnie i bezowocnie swe bezsilne dłonie.

Aleksander Dzienisiuk.

Władysław Dziewulski

SŁOWIAŃSKI CHARAKTER KSIĘSTWA POMORSKIEGO

Starsi uczeni polscy (jak np. Brückner) zbyt pochopnie akceptowali sugerowaną przez Niemców tezę o szybkim zniemczeniu księstwa pomorskiego i to zarówno dynastii panującej jak i ludności.

Nie ulega wątpliwości, że większa część szlachty oraz mieszczaństwo, zwłaszcza jego warstwy odgórne, były pochodzenia niemieckiego względnie uległy wczesnej germanizacji. Ale żeby uznać księstwo pomorskie za państwo niemieckie, należałoby uprzednio wykazać, że dzieło germanizacji zostało uwieńczone powodzeniem w odniesieniu do pozostałych czynników społecznych — a mianowicie dynastii panującej i szerokich mas ludności. Chodzi o to, że w warunkach anarchii feudalnej, jaka panowała na Pomorzu Zachodnim niemal przez cały okres istnienia księstwa pomorskiego, dynastia książęca była jedynym czynnikiem, reprezentującym interes państwowy i ład społeczny; książęta pomorscy mogliby przez to całkiem słusznie utożsamiać siebie z państwem, mimo, że ich sytuacja prawna i faktyczna w niczym nie przypominała stanowiska monarchy absolutnego. Broniąc niepodległości kraju przed Brandenburczykami, książęta pomorscy mieli oczywiście na względzie przede wszystkim swój interes dynastyczny, interes ten jednak pokrywał się całkowicie z interesami tak państwa pomorskiego, jak i słowiańszczyzny, gdyż opór, jaki Brandenburgia napotykała na odcinku pomorskim, opóźniał pochód niemczyzny, zdążający do penetracji na wschód kosztem w pierwszym rzędzie Polski. Obiektywnie więc książęta pomorscy stali na najbardziej naprzód wysuniętym posterunku słowiańszczyzny i występowali w roli obrońców interesów ogólno-słowiańskich.

Należy teraz postawić następujące pytania:

1) czy książęta pomorscy zachowali słowiański tryb myślenia i postępowania.

2) czy uświadamiali sobie swą łączność ze światem słowiańskim, wzgl. z najbliższą jego reprezentantką — Polską.

Na pierwsze pytanie odpowiada twierdząco niemiecki historyk Mass, pisząc: „Ciężkiej krwi słowiańskiej książąt pomorskich nie zdołały ożywić liczne związki z niemieckimi domami książęcymi" (str.280). Że pozostali oni Słowianami, wskazuje ich postępowanie, w wysokim stopniu odmienne od zachowania się współczesnych książąt niemieckich; w przeciwieństwie do rodowitych Niemców książęta pomorscy z małymi wyjątkami nie okazują ani wojowniczości ani zamiłowania do awanturnictwa, przesiadują najchętniej w granicach własnego państwa, chętnie szukają kompromisów, odznaczają się skłonnością do życia wygodnego, są miłośnikami sztuki. Są to cechy typowo słowiańskie. Ale obok nich widzimy też cechy, wykraczające poza pojęcie ciągu harmonicznego, a właściwe Słowianom, mianowicie zawziętość i wytrwałość, zdolność do improwizowania i radzenia sobie wobec piętrzących się trudności, trafną ocenę sytuacji i obrotność.

Prawie nie sposób znaleźć drugą dynastię, którąby los postawił w równie trudnych warunkach, jakie stały się udziałem domu pomorskiego. Stał on na czele kraju, który pod względem gospodarczym był słaby i ubogi na skutek wskazanej wyżej pasożytnej gospodarki żywiołu niemieckiego. Polityczny ciężar gatunkowy kraju — niezbyt wielki już z racji słabości gospodarczej — pomniejszyła jeszcze tendencja do rozpadania się na państewka dzielnicowe, wykazywana przez Pomorze Zachodnie przez cały okres niepodległości.

Na podkreślenie zasługuje okoliczność, że książęta pomorscy, nieraz poróżnieni między sobą, w chwilach krytycznych zdobywali się na działanie solidarne i tworzyli jednolity front w obronie interesów państwa pomorskiego; przyczyniło się to nieraz do ocalenia księstwa przed zaborczością brandenburską.

„Ciężka krew słowiańska" dała dynastii pomorskiej szereg ludzi wybitnych i energicznych, którzy umieli stanąć na wysokości zadania. Niewielu władców w historii zdołało postawić na swoim przy tak ograniczonych środkach do ich dyspozycji, jak książęta Warcisław I, Racibor, Bogusław IV, Warcisław IV, Bogusław V, Barnim III Wielki, Eryk I, Eryk II, Bogusław X, Jerzy i Jan Fryderyk.

Charakterystyczne, że wymienieni, uznani za ludzi wybitnych przez historyków niemieckich, wszyscy niemal w swej polityce trzymali się orientacji polskiej. Obok mężów stanu dynastia dała na Pomorzu szereg ludzi zasłużonych dla kraju, jak założyciel uniwersytetu w Gryfii Warcisław IX, gorliwy budowniczy Ernest Ludwik, zasłużony dla rozwoju drukarstwa pomorskiego Bogusław XIII, miłośnik sztuki Filip II szczeciński. Ostatni z rodu, Bogusław XIV, żyjący sam w nędzy podczas wojny 30-letniej, przekazał uniwersytetowi w Gryfii całą swoją posiadłość, jeszcze nie zniszczoną i przynoszącą dochody, i uratował w ten sposób uczelnię przed upadkiem.

Czy książęta pomorscy czuli się Słowianami? Za odpowiedzią twierdzącą przemawia trzymanie się przez dynastię imiennictwa słowiańskiego: na 76 znanych z imienia członków rodu z okresu 1107—1637 tylko 17 nosi imiona niemieckie wzgl. ogólno-chrześcijańskie, reszta — blisko 80% ogółu trwa przy imiennictwie słowiańskim. Co innego widzimy w rzeczywiście zniemczonej dynastii, panującej w sąsiedniej Mecklemburgii: w rodzie tym imiona słowiańskie znikają zupełnie od XIII w. Swym pochodzeniem od „królów Slawii" książęta pomorscy się szczycili.

Czysto słowiańską jest koncepcja rodowa, na której opierało się obowiązujące w księstwie pomorskim do ostatniej chwili jego istnienia prawo dynastyczne (powołanie wszystkich synów panującego łącznie do sukcesji po zmarłym ojcu). Na tej koncepcji opierała się umowa podziałowa z 1295 r., będąca podwaliną pomorskiego prawa państwowego. Według niej podział kraju nie był ostateczny, obydwaj książęta zachowali nie tylko wspólne posiadanie zatoki, wszystkich rzek i portów, lecz i prawo własności i dziedziczenia w stosunku do całego kraju (słowiańska instytucja „społecznej ręki"). Ustalono, że wasale i miasta mają składać przysięgę lenną i hołdowniczą obydwu książętom dzielnicowym i żaden z książąt nie może bez zgody drugiego sprzedać, zastawić lub zamienić swych posiadłości, o ileby zaś którykolwiek z książąt wyrządził stanom jakąś krzywdę, stany miały prawo stawiania mu oporu w przymierzu z księciem drugiej dzielnicy (pojęcie znanego z dziejów polskich rokoszu).

Spotyka się twierdzenie, jakoby książęta pomorscy, otoczeni przez niemców, zapomnieli języka słowiańskiego, t. zn. narzecza

pomorskiego wzgl. kaszubskiego. Twierdzenie to, powtórzone nawet przez niektórych autorów polskich, jest wysoce problematyczne; trudno przypuścić, żeby władcy państwa, mający z racji częstych rozjazdów po kraju i uprawianego wówczas namiętnie sportu myśliwskiego częstą styczność z ludem, który w olbrzymiej większości swej zachował mowę przodków przez cały czas istnienia księstwa pomorskiego, nie mieli ani ochoty ani potrzeby władania mową swych poddanych. Zresztą naskutek dość częstych małżeństw książąt pomorskich z księżniczkami polskimi dla dzieci zrodzonych z tych związków językiem macierzystym była polszczyzna, tym bardziej, że niejeden z książąt pomorskich bądź często przebywał bądź nawet — jak Kazimierz III lub Bogusław X — wychowywał się na dworze polskim.

Ujawniające się na Pomorzu Zachodnim od w. XVI lekceważenie sprawy obrony kraju żywo przypomina współczesne stosunki polskie. Widzimy tu taką samą beztroskę, wiarę w nienaruszalność traktatów nie popartych własną potęgą militarną, brak pieniędzy dla żołnierzy, sprzęt i twierdze, złudzenia co do pospolitego ruszenia szlachty; czy wynikało to z naśladowania wzorów polskich, czy zależało od nastawienia psychicznego władców i społeczeństwa, nie podejmujemy się określić, w każdym bądź razie tego rodzaju ustosunkowanie się do wojskowości było słowiańskim, a nie niemieckim.

Lud pomorski nie miał oczywiście — zgodnie z ówczesną strukturą społeczno-polityczną — najmniejszego udziału w sprawach państwowych, będąc wyłącznie przedmiotem rządzenia, lud tym niemniej dźwigał na swych barkach całą nadbudowę państwowości pomorskiej. Ciężka, bezlitośnie wyzyskiwana praca chłopa, drwala, bartnika, rybaka i robotnika miejskiego była tym filarem, na którym się wspierała pomyślność i niezależność gospodarcza, a co za tym idzie i polityczna Pomorza Zachodniego. Żywioły te pozostały słowiańskie do końca państwa pomorskiego; właściwa germanizacja — jak wykażemy w następnym rozdziale — przypada na czasy późniejsze. Żywioł niemiecki nie brał tu prawie żadnego udziału w produkcji wartości, od których był zależny byt gospodarczy Pomorza; zadaniem jego była eksploatacja klas uciemiężonych w drodze przymusu najczęściej pozaekonomicznego. Dlatego na siłę gospodarczą państwa wywierał on wpływ szkodliwy, abstrahując już od jego ujemnego oddziaływania ze sfery pozagospodarczej (anarchizowanie życia zbiorowego).

Historia ludu pomorskiego nie została dotąd napisana. Znamy z opracowań historyków niemieckich dzieje warstw wyższych, niemieckich z pochodzenia lub zniemczonych, ale martyrologia słowiańskich dołów społecznych, zmuszonych znosić podwójny ucisk narodowy i społeczny, nie doczekała się jeszcze swojego dziejopisa. Wiemy, że sytuacja prawna i gospodarcza chłopa pomorskiego pogarszała się stale od w. XV, że w w. XVI była ona gorsza niż w Polsce, na co wskazuje zbiegostwo chłopów z Pomorza do Polski, że książęta zmuszeni byli wzamian za częściowe ograniczenie samowoli wyższych warstw dać odszkodowanie w postaci wydania im na łup chłopów, wiemy, że jedyną pociechą dla uciemiężonych Słowian musiała stanowić okoliczność, że i potomkowie kolonistów niemieckich zostali przeważnie na równi z nimi pozbawieni praw, wiemy, że biedota słowiańska w miastach była przedmiotem najgorszej poniewierki i wyzysku, ale to wszystko tylko najbardziej rzucające się w oczy obiawy długotrwałego procesu społeczno-gospodarczego, którego mechanizmu nie znamy dokładnie. Dzieje mas ludowych Pomorza Zachodniego są osnute mgłą, którą być może rozproszą badania uczonych polskich.

Reasumując powyższe wywody, możemy dojść do konkluzji, że księstwo pomorskie reprezentowane przez dynastię, która nie zatraciła ani biologicznych cech, ani świadomości swego pochodzenia słowiańskiego, wyposażone przez los w rolę strażnika interesów ogółu słowiańszczyzny i przeszkody niemieckiego pochodu na wschód, popierane w swej polityce antyniemieckiej ze względów klasowo-egoistycznych przez niemieckie względnie zniemczone szczyty swego społeczeństwa, dźwigane pracą ludu słowiańskiego, było w istocie swej państwem nie niemieckim, lecz słowiańskim.

Formalna przynależność Pomorza do cesarstwa niemieckiego, z czego starają się wysnuć jak najdalej idące wnioski autorowie niemieccy, jest w danym wypadku najzupełniej obojętna. Narówni z Pomorzem należały do Rzeszy przez długi okres czasu Italia północna i środkowa, Szwajcaria, Belgia, Holandia, Czechy, znaczne obszary Francji, nikt jednak, poza propagandystami hitlerowskimi nie odważy się z faktu przynależności ongiś tych krajów do Rzeszy wysunąć tezy o ich niemieckości. Wspomnieliśmy zresztą, że związek Pomorza Zachodniego z Rzeszą był jaknajbardziej luźny. Na dworze cesarskim wiedziano o Pomorzu mniej niż w jakiejkolwiek innej części państwa niemieckiego. Wehrmann przytacza przykład, że kancelaria cesarstwa w w. XV nie miała pojęcia o sytuacji prawnej Szczecina i Strzałowa, uważając je za miasta cesarskie. Cesarze byli gotowi odstąpić swe prawa do bezpośredniego zwierzchnictwa nad Pomorzem za korzyść polityczną lub nawet zwykłą łapówkę. Z drugiej strony książęta pomorscy nie dbali zupełnie o cesarza i Rzeszę i uważali za punkt honoru uchylać się od wykonywania swych obowiązków wobec cesarza.

Władysław Dziewulski.

Adam Grzymała-Siedlecki

PIERWSZE GODZINY „PAWIAKA"

(Fragment z pamiętnika: „Stojedenaście dni letargu")

Otwiera się przed nami wysoka na piętro żelazna brama, samochód zakręca pod jakieś drzwi, do których wiedzie kilka schódków, — zapewne kancelaria więzienna. Po przejściu przez pusty pokoik znajdujemy się w onej kancelarii. Balustrada oddziela władzę od nas, przestępców. Dzisiaj ruch w interesie znaczny, przestępcza strona kancelarii zatłoczona „surowcem". — Długo czekamy na swoje przyjęcie, a co chwila za oknami nowy szmer opon przyjeżdżającego samochodu — i nowa gromadka, nowy połów wkracza do kancelarii. No tak! — noc przed 11. XI., a „listopad dla Polaków etc".

Jestem zmęczony i znudzony. Za długo tego czekania! Usiąść nie ma na czym, a i zapewne nie wolno. Znalazłem dostęp do balustrady, oparłem się: trochę znośniej. Za balustradą na stole żandarma-kancelisty leży dzisiejszy **Voelkischer Beobachter;** — stara dziennikarska toksyna każe mi w tej chwili przebiegnąć oczyma po szpaltach; coś mnie zainteresowało, zaczynam czytać uważniej. Drogo mnie to kosztowało! Żandarm odłożył pióro, zerwał się na nogi, kilka litrów krwi buchnęło mu do głowy, chciał natychmiast ryknąć na milę kwadratową, ale nadmiar oburzenia odebrał mu mowę do tego stopnia, że tylko oczami wyłażącymi z orbit, dusząc się z wściekłości zaczął rozglądać się dokoła, czy obecni tu jego koledzy widzą, jaka niepojęta zuchwałość stała się w tym przybytku? Czy słyszano, by aresztowany, więc zbrodniarz, ośmielił się czytać gazetę, leżącą na stole władzy?!! NIEMIECKIEJ władzy!! I nareszcie jak nie wrzaśnie! Stado ranionych bawołów nie wydałoby w sumie takiej siły głosu. Za karę stanąć musiałem zdala od Majestatu, twarzą obrócony do ściany. Na szczęście, na tym się skończyło.

Po jakiejś godzinie doszło nareszcie do opisania mnie, zanumerowania, odebrania mi pieniędzy i rzeczy przewidzianych jako zakazane, — oddano mnie w ręce t. zw. **porządkowego,** tj. więźnia, przydzielonego do pomocy funkcjonariuszom oddziałowym. — „Prędko, prędko" — zaleca mi mój nowy opiekun — i po schodach mkniemy na dół do suteren. Mijamy stojącego przy ścianie Ukraińca, jest to pomocnik oddziałowego wachmana. Mołojec z batogiem w tęgiej łapie. Narzędzie pracy ma się po to, by pracowało: właśnie przed chwilą poprzedzającego mnie nowoprzybyłego więźnia zdzielił bykowcem przez plecy że tamten aż się ugiął. — „Za co?" — pytam naiwnie mojego konwojenta. — „Tak sobie, z humoru" — dostaję wyjaśnienie, — „Skorieje sukinsyn!" — dolatuje do mnie już skierowany rozkaz. „Przeciągnie po mnie kańczugiem, ani marzyć, by się mogło stać inaczej" — przemyka mi przez głowę nieprzyjemna nadzieja. Nie wiem dlaczego, puścił mnie jednak bez obiczowania. Powtarzam: „nie wiem dlaczego", bo gdym z moim guidem pomykał dalej, w pewnym momencie usłyszałem za sobą świst bata i głośny jęk. — „Ten to sobie już sam winien" — stwierdza mój przewodnik. — „Dlaczego sam sobie winien?" — „A bo się potknął, biegnąc". — Zaiste wina nie do darowania.

Wprowadzają mnie do jakiejś skrajnie brudnej, oblepionej błotem, zaśmieconej, wilgotnej izby, która — jak się zaraz okazało — pełni funkcje punktu sanitarnego na Pawiaku... Ile kwadrylionów bakteryj musi tu wirować w każdym centymetrze kubicznym przestrzeni! — „Rozebrać się". Spełniam rozkaz, ale widocznie nie dość zgodnie z obowiązującym tutaj tempem bo jakiś blondyn średniego wzrostu, zapewne też porządkowy, szepce mi w ucho: „Niech się pan prędzej rozbierze, do cholery, kochany panie!" — „Niech pan pamięta — ciągnie dalej: — że tu wszystko trzeba robić sznel, tu już takie przyzwyczajenie" — poucza poczciwie, a ciągle szeptem, by przychodzący co chwila ukrainiec nie złapał go na zbrodni rozmowy z nowoprzybyłym więźniem. Rozgląda się na wszystkie strony i nie ustaje mówić urodzony gaduła:

— Dzisiaj u nas, proszę ja radcy, poprostu mówiąc: **frekwencja!** I takich ważnych tylu naraz, to chyba, proszę ja kogo, — nigdy dotychczas, jak tu jestem. Przywieźli obu panów rektorów, księdza regensa ze seminarium, pana Szpotańskiego z Pragi, pana Lewandowskiego z Czerwonego Krzyża, pana wojewodę Gnoińskiego, księcia Lubomirskiego.

— Którego?

— A księcia regenta.

— Czy się panu nie zdaje?

— Sam mu się pomagałem rozbierać. — Poprostu świąteczny dzień, warto by w taki dzień wypić kapkie.

Poczciwa dusza musi się jednak mylić: książę Zdzisław Lubomirski?? Starzec koło osiemdziesięciu lat, od dawna schorowany i daleki już teraz od wszelkiej polityki. Skąd by się do niego mieli przyczepiać? No i ta do licha okoliczność, że nie z innego przecie ramienia, lecz austro-**niemieckiego** w latach 1916—1918 współregent polski! Coprawda **nihilizmu,** jako głównego składnika dopatruje się Rauschning w nazionalsocjaliźmie Hitlera, a nihilizm nie uznaje nawet własnych autorytetów. Choćby się bonhomme mylił co do Lubomirskiego, to poprzednio wymienieni wystarczą. Być aresztowanym razem z regentem państwa, magnificencjami, wojewodami i elitą gospodarczą kraju — można wpaść w manię wielkości...

Jeżeli w dniu dzisiejszym tak masowo przyskrzynili najwybitniejsze w społeczeństwie osobistości, to bardzo prawdopodobne, że aresztowania mają charakter zakładnictwa. Jeżeli dzień jutrzejszy (11. XI.) minie w Warszawie spokojnie, możemy być zwolnieni. Ale podpełzają do mózgu czerwie wątpliwości: czy dzień jutrzejszy minie spokojnie? Podzielony między otuchę a pesymizm, a już dokładnie nagi i drżący z chłodu w nieogrzanej izbie, przechodzę w ręce dalszych specjalistów. Jest ich dwóch: pan fryzjer z maszynką do strzyżenia włosów i pan felczer z latarką elektryczną. Ten ostatni przyjmuje mnie obojętnie, lustruje światłem najzaciszniejsze nawet i można by powiedzieć: najpoufniejsze zakątki zewnętrznego organizmu, czy nie wnoszą ze sobą owszenia, — raz, dwa i — koniec. Nawet pan fryzjer patrzy na mnie ponuro i jakby starał mi się dać poznać, że jestem tu niepotrzebnym a przemocą wdzierającym się natrętem. Nieżyczliwość zupełnie zrozumiała: gdyby nie nasz tak gromadny najazd, spałby sobie spokojnie, a tu masz! Robota nad każdym zosobna, coprawda krótka: przejechał maszynką po czaszce, pokrwawił ją tu i tam, pacjent wrzasnął: „ o Rany!!" — i gotowe. Tak, ale pomyśleć, ile on już dzisiaj głów musiał pokaleczyć swoją tępą, zacinającą się maszynką, do skalpowania raczej sposobniejszą. Dodajmy do tego, że zamyka się oczy, by nie widzieć pokładów lepkiego brudu na owej maszynce — a będzie to ostatni szczegół tej placówki higieny.

Teraz pospieszne ubieranie się. Poczciwa blond dusza pomaga mi gorliwie. Obuwie niezasznurowane, to i tamto nie pozapinane, a na guziki „nie ma czasu, proszę ja figury, — uciekajmy!" Pędzimy. Zacny opiekun pomaga mi nieść moje rzeczy: rękawiczki, okulary i tę laskę, którą mi SS-Mann szofer wręczył dwornie, gdyśmy zajechali pod kancelarię Pawiaka.

— Tylko niech mi pan po drodze laski nie zgubi — upominam mojego dobroczyńcę.

— Gdzieżby znowu? Jak oka w głowie, panie radco-prezesie....

— Bo w zimie miewam postrzały w krzyżach, bez laski ruszyć się nie mogę.

— Się wi. I o lasce pamiętam i o rękawiczkach i o okularach. Fajny skórzany futerał sprawił sobie dziedzic do okularów. Ile kosztował?

Nie mam czasu odpowiedzieć ,bo jesteśmy u drzwi pokoju, w którym trzeba będzie spędzić mi dzisiejszą noc. Sierdzisty Wachmann z kluczami i batogiem otwiera i dość mocnym pchnięciem ułatwia mi przejście przez próg. — „Moja laska i reszta rzeczy?" — zwracam się do poczciwej duszy. Po przez szczelinę zamykających się drzwi widzę jego mimiczne wyjaśnienie: „laska i reszta pozostaną, brachu, moją własnością".

Zapewne jako honorarium za poczciwość.

Zamknęły się za mną drzwi — i oto jestem więźniem. Rozglądam się, jak to wygląda? Przed wiekami bielone ściany, okno wysoko nad głową, długie a wąskie wnętrze. U ludzi na wolności lokator takiej kiszki uważałby, że nie starczy już miejsca na kogoś drugiego, — tutaj w ciemności majaczy mi się ciżba kilkunastu figur, siedzących, leżących, stojących. Małe światełko lampeczki u sufitu ledwo-ledwo rozświetla twarze. W głębi, pod oknem, łóżko, na którym się pomieściło kilku, — reszta aresztowanych, gdzie kto może: na zabranych ze sobą tobołkach, pod ścianami, w kątach. Jaśniej nieco rysuje się postać prof. Drewnowskiego, rektora politechniki warszawskiej; wyprostowany stoi o nic nie oparty, po żołniersku wytrzymały — i w pierwszym już wrażeniu czyni mi się podobnym do angielskiego colonela, jak ich rysują na ilustrowanych okładkach powieści zza kanału.

Przedstawiamy się sobie, — z poza jego pleców ktoś wyciąga do mnie rękę: „witam pana!" — Kto? nie mogę oczom uwierzyć: Zdzisław ks. Lubomirski! Poczciwy złodziej nie mylił się jednak: aresztowano byłego współregenta... Obchodzę wokół towarzystwo z powinnym powitaniem; nie każdego od razu poznaję: ostrzyżona do skóry głowa niejednego zmienia zasadniczo. Zastaję tu księdza Archutowskiego, regensa seminarium duchownego. Widzę mojego starego kolegę redaktora Hieronima Wierzyńskiego, p. Emila Rauera, Kazimierza Szpotańskiego, właściciela znanej fabryki aparatów elektrotechnicznych, rektora Michałowicza. Z kąta wysuwa się ku mnie wysoka cienkość Tadeusza Frenkla. Zgnębiony, ale jeszcze nie tak nerwowo rozbity, jak to na niego naszło, później. Wita mnie wspomnieniem swego ś. p. ojca a mojego serdecznego przyjaciela Mieczysława Frenkla:

— Mietuchna wiedział co robi: śpi sobie na Powązkach pod ziemią; można mieć nadzieję, że Gestapo zostawi go w spokoju. Chociaż, czy można za coś zaręczyć?

Razem stłoczono nas tu osób koło dwudziestu bodaj.

Gdy piszę te słowa (wrzesień 1944 r.), — na wolności żyjących z całości tego grona jest nas tylko dwóch: przezacny Kazimierz Szpotański i ja. Reszta? Reszta albo rozstrzelani, albo zmarli w obozach koncentracyjnych, — a jeśli kto jeszcze nie zmarł, to wegetuje, dogorywa w kościotrupim wycieńczeniu; wreszcie ci, jak Lubomirski lub Emil Rauer — zwolnieni, ale w takim stanie, że nie dożyli końca 1943 r. Tak się w Polsce przedstawiała statystyka żywotności uwięzionych przez Gestapo ludzi.

Krystyna Grzybowska

WRAŻENIA

Za oknem świta. Przez szyby wagonu, pokryte lodowym kwieciem, usiłuję pochwycić jakiś choćby zarys krajobrazu. Topnieje lód pod oddechem i spływa kroplami wody w szpary okienne, znika jak owa lodowa ściana, którą postawił wróg na długich pięć lat w samym sercu Polski. Za oknem pola i przestrzeń — przestrzeń. Pola są te same — dobrze znajome, polskie pola, przestrzeń jest ina niż w tych krakowskich stronach skąd unosi mnie przez pół dnia i całą noc dymiąca parą lokomotywa. Kładzie się przed nami kraj płaszczyzn, szeroki, daleki, nakryty olbrzymią kopułą nieba, oczy nawykłe do falistego krajobrazu pagórków, znajdują jakąś nową rozkosz — czuję się jak narciarz przed dalekim zjazdem z gór, a patrzącemu na niebo narzuca się myśl: oto zbliżamy się do kraju Kopernika. Jasnym się staje, że taka przestrzeń i takie niebo odrywać muszą od ziemi, że urodzić musiały znakomitego astronoma, że stały się wyzwaniem dla geniuszu.

Nieprzespana noc nastraja jakoś ilozoficznie. W wagonie tymczasem toczy się zwykła, kolejowa rozmowa. Że szyby w oknach wagonu... już są, że pociąg... już ogrzewany, że wogóle, że naprawdę... znać, że jest coraz lepiej, że cukier staniał, że zapałki... Zwykła rozmowa o troskach dnia powszedniego, o których przede wszystkim mówi dziś cała Polska, tu — czy tam.

Atmosfera pełna wzajemnej życzliwości — oto co mnie miło uderza. Nie wiem, czy mam takie szczęście do towarzyszów podróży, czy też rzeczywiście ludzie przestają na siebie patrzeć wilkiem. Byłby to najpewniejszy znak, że naprawdę jest lepiej. Tylko w stosunku do szabrowników panuje ogólna nuta nienawiści i pogardy. Jeśli nawet jest kto taki między nami — kryje się i wymyśla razem z innymi.

Za oknami sosnowe lasy. Dojeżdżamy do Torunia. Ze wzruszeniem witam Pomorze. Nie tylko dlatego, że jestem tu poraz pierwszy. Myślę o tych pięciu latach, które nas dzieliły. Niepodobna nie wspomnieć, ile to razy myśleliśmy i jak boleśnie — przez ten czas o pomorskiej ziemi tak odległej. Wiązały nas te myśli serdeczniej, mocniej — niż wiążą lata syte — urodzaju, pokoju i powodzenia. Wieści potworne, pełne żałoby, opowiadane ukradkiem — dochodziły nas często. Dziś po Niemcach nie ma prawie śladu — prócz popalonych ruin. Krew wsiąkła w ziemię i wydobędzie z niej płodny posiew. Opowiada matka pomorska, że niemczono jej dziecko w szkole i nie mogła temu zaradzić, bo się bała, aby ucząc dziecko nienawiści do wroga nie wydała w ręce zbirów męża. „Ale dzięki Bogu już zapomniał po niemiecku, a Niemców nienawidzi jak zarazy". — Wysłuchuję wzruszającego opowiadania o życiu pisarza polskiego, który w czasie okupacji był malarzem pokojowym w małym miasteczku. Raz, gdy właśnie z kubłem w jednej,a pędzlem w drugiej ręce stał na drabinie opryskując sufit farbą — we drzwiach izby stanął w chłopskim fornalskim ubraniu młody człowiek, aby ni mniej ni więcej — zaprosić go na koncert szopenowski. Był to bowiem również ukrywający się młody muzyk. Do chaty, w której mieszkał wyrzucili Niemcy ze dworu

fortepian zawadzający im. Tak się kryła, tak trwała i przetrwała nieśmiertelna polska kultura. Krzewi się teraz tutaj bujnie i tu jak w całej Polsce znajdując po wojnie niesłychanie wdzięczne podłoże — chciwą publiczność. Oglądam wspaniały Dom Sztuki w Bydgoszczy, którego jej zazdrościć będzie cała Polska. Przypatrywałam się bliżej pracy Teatru Ziemi Pomorskiej w Toruniu i zachwycona jestem zapałem i pracowitością młodego zespołu razem ze swym dyrektorem. Niedyskretnie podsłuchałam rozmowę między przedstawicielem trzeźwego świata przemysłowego a młodą artystką. Chodziło o stosunek zadań teatru do — kasy. Młoda adeptka sztuki wskazywała, że dbać trzeba tylko o artyzm. Jej rozmówca ściągał ją z obłoków na ziemię i pytał: „gdzież proza życia z którą się trzeba liczyć!". Artystka na to z oburzeniem wtajemniczonych: „Sztuka — to nie życie, to marzenie!". — Dobrze że tak myśli młode pokolenie, niechże się nie oglądają na istniejące dotąd warunki a stworzą warunki nowe.

Widziałm tylko te dwie placówki artystyczne na Pomorzu: Klub artystyczno-literacki w Bydgoszczy i teatr w Toruniu, sądzę, że musi ich być tu więcej i że praca ich wyda napewno wspaniałe owoce, stwarzając w tym kącie Polski jedno z ognisk szeroko promieniującej kultury.

Zaimponowała mi rozmachem swoim pełna wigoru oraz inicjatywy Bydgoszcz, rozmarzyła mnie pięknem swoich zaułków i malowniczością perspektyw — niestety spędziłam w niej tylko pół dnia. Toruń poznałam lepiej. Wydaje się, że jest to miasto, które urzeka. Oglądałam stary Toruń raz pierwszy przy księżycu. W świetle dziennym zachwycam się prześliczną dzielnicą willową, zagubioną wśród lip i sosen.

Toruń powinien stać się miastem artystów. Daleki horyzont da polot ich myślom, piękno ogrodów wychowa ich na poetów, stare mury wychowają fantazję. O ileż łatwiej musi się żyć artyście w tym mieście tak romantycznym i pięknym. Spacerując przy księżycu widzę oczyma wyobraźni tłum nie współcześnie ubranych, ale widzę kobiety w fałdzistych spódniczkach i wysokich czapkach żaków i goliardów średniowiecza, którzy wyszli z kart kodeksu Bema i jak mrówki kręcą się po ulicach i placach Torunia, zastępując mi drogę, gdziekolwiek się zwrócę. Nie wiem czy wiedzą mieszkańcy Torunia, że dzisiaj pół Polski nazywa miasto ich polskim Oxfordem lub polskim Cambridge. Niechże i to się spełni — młodzieży uniwersyteckiej spotyka się wszędzie pełno i wciąż ktoś wywołuje autorytet profesorów.

Przetrwałaś więc twarda, pomorska ziemio wszystko i jesteś jeszcze silniejsza. Jakże jesteś polska i ta sama Wisła płynie tutaj, ta sama co pod Krakowem szerszym tylko nurtem, unosząc na sobie sine nenufary kry. W odległościach horyzontu, w majestacie nieba, w rzeźwym powiewie wiatrów — przeczuwamy bliskie morze, o którym pięć lat rozstania śpiewały nam nieustanną legendą. Ale w ciszy i skupieniu Torunia, w jego dumie z tradycji i z murów odnajduję znowu Kraków — ten dawny przedwojenny Kraków, którego teraz trudno doszukać się w mieście rozrastającym się gwałtownie wskutek zmienionych przez wojnę warunków.

Pożegnać pragnę Toruń przypomnieniem pięknego wiersza Józefa Czechowicza, którego niestety dziś zabrakło między nami.

Tu tyle lip roniących kwiat
taki zapachu odmęt.
Wieże w księżycu — srebrne pochodnie
na kościołach, podobnych do tratw.

Krystyna Grzybowska.

Eugeniusz Krygier

STAN MUZEALNICTWA POMORSKIEGO

Stan muzealnictwa, jaki nowoodradzające się Państwo Polskie zastało na Ziemi Pomorskiej — był katastrofalny. Przez cały okres okupacji zbiory muzealne były zamknięte i niedostępne dla publiczności, a Niemcy segregując eksponaty mieli tylko ten jeden cel na względzie, by wybrać z nich najcenniejsze do wywiezienia. Świadczą o tym dobitnie przygotowania ich już w lipcu 1942 roku, gdy rozpoczęli prace wstępne do „ewakuacji" muzealiów toruńskich. Zbiory prywatne po dworach przejęli — po wysiedleniu z nich Polaków — Niemcy, by z końcem 1944 r., kiedy załamana potęga germańska cofała się w popłochu, wywieźć je dalej na zachód. Taki los spotkał jedno z największych zbiorów dzieł sztuki na Pomorzu w posiadaniu prywatnym — muzeum w Niedźwiedziu (pow. wąbrzeski), gdzie wspaniałe zbiory broni dawnej, wyrobów przemysłu artystycznego, mebli artystycznych, obrazów malarzy polskich i obcych o klasie europejskiej, rzeźby, sztychy, druki, zbiory porcelany i szkła artystycznego, wykopaliska prehistoryczne oraz pamiątki narodowe padły ofiarą zachłanności germańskiej. Głównym rabusiem był sam Forster, a działania wojenne w 1945 r. dokonały reszty. W zacietrzewieniu fanatycznym zniszczyli m. in. hitlerowcy zbioru Muzeum Regionalnego w Inowrocławiu, z pasją depcząc butami wykopaliska ceramiki sznurowej spod Mątew (pow. inowrocławski). Prawie całkowitemu zniszczeniu skutkiem działań wojennych uległy zbiory regionalne w Chojnicach, gdyż zachowało się tylko około 10% eksponatów. Prawie 50% swego posiadania uratowało Muzeum Ziemi Kujawskiej w Włocławku.

Względnie małymi stratami dotknięte zostało Muzeum Nadgoplańskie w Kruszwicy, które szczęśliwie zdołało uratować m. in. stroje z regionu kujawskiego. Muzeum Miejskie w Grudziądzu w czasie 6-cio tygodniowego oblężenia miasta w 1945 r. zostało obrabowane, a urządzenia wnętrza, jak szafy, gabloty itp. częściowo zniszczone. Według dość ogólnych obliczeń, gdyż tak w tym muzeum jak i w innych brak katalogów czy też ksiąg inwentarzowych nie pozwala na dokładne zorientowanie się w stratach — zginęło: ok. 3.000 sztuk monet, zbiory ludowe kaszubskie (czepce haftowane, skrzynie i meble), broń z XVII i XVIII w. oraz część wykopalisk prehistorycznych z okolic Grudziądza.

Do szerszego omówienia pozostałyby jeszcze dwa największe muzea pomorskie, w Bydgoszczy i Toruniu. Zbiory muzealne bydgoskie w 1943 r. zostały wywiezione do 8 miejscowości (w cztery powiaty: świecki, bydgoski, tucholski i wyrzyski). „Ewakuacji" poddano prawie $^{3}/_{4}$ zbiorów, gdyż ok. 800 obrazów ok. 600 dzieł graficznych oraz skrzynie ze zbiorami prehistorycznymi, przemysłu artystycznego i pamiątkami cechowymi. W czasie działań wojennych w 1945 r. zbrodnicza ręka kładzie ogień pod dwór w Dębowie (pow. wyrzyski) i Trzciń-



JACEK MALCZEWSKI — PORTRET
(Obraz ze zbiorów Galerii Bydgoskiej, zniszczony wskutek działań wojennych)



OLGA BOZNAŃSKA PORTRET

(Obraz ze zbiorów Galerii Bydgoskiej zniszczony wskutek działań wojennych)

cu (pow. bydgoski), gdzie złożone są wywiezione zbiory bydgoskie. W płomieniach giną dzieła najcenniejsze bydgoskiej galerii. Pastwą pożaru padły m. in. 134 prace Wyczółkowskiego, Orłowskiego, Malczewskiego, Axentowicza, Kotsisa, Fałata, Weissa, Pautscha, Wodzinowskiego, Filipkiewicza, ok. 600 dzieł graficznych i kilkadziesiąt eksponatów muzealnych (militaria, kasety, laski sołeckie itp.). Lecz nie tu kres strat. W Kawęczynie (pow. świecki) z wywiezionych 100 obrazów naszych malarzy 77 (w tym: Wyczółkowski 17, Brandt, Jarocki, Kozakiewicz, Sichulski, Boznańska, Hoffman, Kędzierski, Fałat) ginie rozgrabionych i zniszczonych w czasie styczniowych działań wojennych ub. roku. Wywiezione do innych miejscowości zbiory prehistoryczne, przemysłu artystycznego i pamiątki cechów bydgoskich wróciły do muzeum mocno podniszczone i niekompletne.

Pakowane do skrzyń w 1942 r. zbiory Muzeum Miejskiego w Toruniu zostały wywiezione do miasta pow. Wyrzyska dopiero w październiku 1944 r. Szybkie załamanie się frontu pod Warszawą i w popłochu cofająca się zniszczona armia niemiecka, wprowadziła zamęt w normalny tok pracy urzędów. Tym też tłumaczyć należy pozostawienie na miejscu wywiezionych tam zbiorów toruńskich. Lecz nie wszystko zdołało wrócić do Torunia i muzeum tamtejsze poniosło w tej wojnie spośród muzeów pomorskich największą stratę. Obrazy z sali sądowej z ok. 1506 i 1600 roku, stare portrety burmistrzów toruńskich, pieczęcie z XIII, XIV i XV w., skrzynie cechowe, pamiątki cechów toruńskich, wyroby artystyczne ze szkła i porcelany, 2 fragmenty kościoła N. M. Pannny w Toruniu (ok. 1380), ornaty, czepce kaszubskie, warmińskie i chełmińskie zbiory numizmatyczne (gabinet posiadał około 15.000 sztuk, w tym: złote dukaty toruńskie z XVII wieku, złote dukaty gdańskie z XVII wieku, pruskie i koronne z XVIII wieku, złote dukaty podwójne, trojaki złote XVIII w.), zbiory metali, posążek dwugłowego bóstwa (Janus) oraz zbiory prehistoryczne z różnych okresów (w tym radło drewniane z Papowa Toruńskiego — wczesno-historyczne 600 do 1100) — oto w głównym rzucie zarys strat, jakimi zostało dotknięte Muzeum grodu Kopernika. Pomijam w niniejszym wykazie strat drobne zbiory regionalne jak np. w Świeciu czy Tucholi, chociaż i one w tej zawierusze wojennej straciły prawie cały swój dorobek tak pieczołowicie i często z poświęceniem zbierany.

Straty, które ponieśliśmy w naszym dorobku kulturalnym w dziełach sztuki wskutek zbrodniczej działalności Niemców muszą zostać nam wynagrodzone. W tej myśli Naczelna Dyrekcja Muzeów w Warszawie ustaliła trzy zasadnicze wytyczne pracy:

1. Odszukanie i zwiezienie rozproszonych zbiorów muzealnych,

2. Ustalenie rozmiarów strat poniesionych przez poszczególne instytucje muzealne i dostarczenie tych danych do Wydziału Rewindykacji i Odszkodowań przy Ministerstwie Kultury i Sztuki,

3. Rewindykowanie zagrabionych dzieł sztuki względnie uzyskanie odszkodowania o tych samych walorach artystycznych z muzeów niemieckich.

Pierwsze dwa z założonych zadań zostały wykonane. Muzea pomorskie czekają obecnie na realizację założenia trzeciego.

Jeden bardzo ważny fakt należy podkreślić na tym miejscu, fakt, który niesłychanie utrudnia pracę i nie pozwolił nawet po roku wyzwolenia na udostępnienie zbiorów społeczeństwu. Faktem tym to brak pomieszczeń do ekspozycji zbiorów muzealnych. Jedynie Grudziądz znalazł się w tym szczęśliwym położeniu, że pozostał w swej dawnej siedzibie. Dwa najpiękniejsze muzea pomorskie — bydgoskie i toruńskie mają zmagazynowane swe zbiory — o ironio — w... Lombardzie i w gmachu Urzędu Skarbowego... Na szczęście, ostatnio dzięki życzliwemu poparciu czynników miejskich muzeum toruńskie otrzymało dla swych celów odpowiednie lokale w zabytkowym Ratuszu a zbiory bydgoskie od kilku dni posiadły własny budynek w śródmieściu przy Alejach 1 Maja.

Jerzy Jasieński

O MUZYCE NA POMORZU

Klaudiusz Debussy, jeden z najgenialniejszych twórców muzycznych ubiegłego ćwierćwiecza, pisał piękną muzykę, nawet nie wiem czy nie trafniej powiedzieć „malował muzyką". Poczęty z ducha Chopina, zrodzony z racjonalnych i irracjonalnych przesłanek Moneta, Sisley'a i Renoira, malował niematerialnymi farbami. Był mistrzem duchowej barwy i wyrazu nieopisanego a prawdziwego, niedościgłego i nieuchwytnego a rzeczywistego, któremu na imię Muzyka, czyli najwyższy wzlot ludzkiego ducha!

Otóż Claude Debussy oprócz „Blasków księżyca", „Refleksów na wodzie" i różańca najróżniejszych impresji „namalował" w jednym z zeszytów swych „Preludiów" żałobną urnę etruską, mieszczącą w swym wnętrzu ducha przodków i nadał kompozycji nazwę "...Canope".

Prześliczny ten utwór w 33 taktach zamyka nierozwiązanym akordem nieopisany żal i tęsknotę „três calme et doucement triste, três lente..."

„Canope"...

Ilekroć słucham tego utworu, nie mogę oprzeć się pokusie porównania: Canope — Pomorze!

W brzmieniu słowa „Pomorze" mieści się nieopisany czar. Bliskość morza i wód światowych otwiera perspektywę dalekich lądów i czarodziejskich miast. Te dalekie perspektywy, widziane okiem wyobraźni z pięknych zakątków miast, miasteczek i wsi pomorskich, nawet u tak realnych, zapracowanych i oddanych dobrom tego świata ludzi, jakimi są Pomorzanie, stwarza potrzebę wypowiedzi niematerialnej w formie pieśni, obrazu czy rzeźby i pięknego słowa.

Niestety potencjonalnie tkwiąca potrzeba i w zarodkach żyjąca wypowiedź, zostały stłumione i złożone do śmiertelnej urny przez odwiecznych grabarzy tych ziem, butnych teutońskich zbrodniarzy, nie tylko w ostatniej ich wyprawie, lecz na długo już przed tym. W zamian zaś „Kulturträgerzy" przynieśli „zglajchszaltowane" masówki w formie kiepskich chórów i „zmilitaryzowanych" marszów, oraz „tremolando" organowych, brzmiących natarczywie od „Introitu" do „Ite Missa est" w niektórych kościołach np. bydgoskich...

Pieśń rodzima, słowiańska, prawdziwa, — muzyka polska w swych najwspanialszych przejawach, czeka na wyzwolenie.

Trzeba rozbić urnę i wyzwolić ducha przodków, by zmartwychwstał i żył! Trzeba przewietrzyć atmosferę, roztworzyć szeroko podwoje dla nowych osiągnięć i zdobyczy muzycznych, skończyć z kursem na Berlin i Lipsk, a wziąć natychmiast kurs na Paryż, Moskwę, Warszawę, San Francisco...

Muzyka na Pomorzu idzie dziwnymi, staroświeckimi drogami, ckliwymi i fałszywymi, narzuconymi przez „profesorów" Winterfeldów i im podobnych, analfabetów muzycznych.

Należałoby zrewidować utarte i przestarzałe poglądy i zacząć kierować się jedynie i wyłącznie rzeczowymi względami, nie zaś sugestią nazwisk, jak to czyni się obecnie. Trzeba skończyć z kultem pewnego ośrodka i zaściankową ksenofobią, owszem należy dopuścić jaknajwięcej nowych, świeżych ludzi z najrozmaitszych ośrodków, by w ścieraniu się poglądów i pojęć dojść do własnych świadomych przesłanek.

Walczymy o nowy, lepszy typ człowieka, kulturalnie bogatszego; musimy w pierwszym rzędzie urabiać jego świadomość dobra i zła, piękna i brzydoty. Prawda światła się nie boi! Sprawą zasadniczą jest obowiązek tępienia kultu niekompetencji, nietolerancyjnego sobkostwa, stawiania interesu i kalkulacji prywatnych ponad interes publiczny. — Walka z tym, — to zasadnicze i naczelne zadanie Zw. Zaw. Muzyków, którego główną troską winno stać się pilne czuwanie nad poziomem nauczania muzyki, drogą dopuszczania wyłącznie odpowiednio kwalifikowanych jednostek. Jest to warunek, bez którego nie możemy myśleć o podniesieniu kultury muzycznej młodego pokolenia, które może dopiero pociągnąć za sobą umuzykalnienie mas. Jakże często spotyka się młodych adeptów, którzy po wstąpieniu do szkoły muzycznej, mając za sobą już parę lat pracy — zaczynać muszą od muzycznego abecadła: układania ręki lub przestawiania głosu, — marnując czas energię i pieniądze, lub nierzadko rezygnując z dalszego wysiłku powiększają szeregi muzycznych wykolejeńców.

Ważnym etapem na drodze do upowszechnienia kultury muzycznej są szkolne audycje muzyczne. Od stopnia troski o odpowiedni poziom, przy popularnej formie podania, zależeć będzie, czy spełnią pokładane w nich nadzieje.

Dla ogółu zaś społeczeństwa potrzebne są lekcje umuzykalnienia, obok — rzecz jasna — dobrych koncertów symfonicznych, kameralnych i występów solowych najlepszych muzyków klasy światowej. Lekcje umuzykalnienia od dłuższego już czasu prowadzone są z wielkim powodzeniem w Łodzi (przez ich inicjatora, młodego kompozytora Witolda Rudzińskiego) i w paru innych miastach polskich. W najbliższym czasie i Bydgoszcz doczeka się podobnej instytucji.

Do jednej ze spraw najważniejszych należy zwrócenie bacznej uwagi na muzykę ludową: regionalne zespoły chóralne i instrumentalne. Jej rozwój idący po linii prawdziwej, niefałszowanej ludowości wywoła powrót do słowiańskości i istotnej polskości w sztuce, przyczyni się do „przewietrzenia atmosfery", urobienia smaku ogółu społeczeństwa, wzbudzenia zainteresowania dla dobrej muzyki. Wtedy dopiero będziemy mogli mówić o prawdziwym upowszechnieniu kultury muzycznej.

Remus nie zwyciężył jeszcze Smętka... Błąka się on ciągle po tych ziemiach i stara się szkodzić gdzie i jak może, by ...„Canope" „doucement triste" nie została rozbita. Przemawia najczęściej przez usta tych, których busola (świadomie, czy nieświadomie) nastawiona jest na „niemczyznę" w muzyce, lub tych, którzy dbając w pierwszym rzędzie o interes własny wszelkimi sposobami dążą do wywyższenia siebie samych, lub przynajmniej nie stracenia niczego ze swego, bardzo często urojonego, prestiżu.

Oby muzycy i społeczeństwo pomorskie zrozumiało jak najszybciej, że nie smarzenie się we własnym sosie i zasklepianie się w ciasnych formułkach regionalnych leży w interesie przyszłości i świetności muzyki rodzimej, lecz otworzenie szeroko uszu i oczu na wszelkie kierunki, przejawy i style (choćby najbardziej nowatorskie) muzyki współczesnej. Nie to jest dobre, co podciąga się pod sztrychulce utartych pojęć, lecz to co rozumne, logiczne, słuszne i prawdziwe.

Jerzy Jasieński

Andrzej Bukowski

SUMIENIE REGIONALIZMU KASZUBSKIEGO

Dogasały echa walk wrześniowych. W pewnej cichej wsi, na południowo-zachodnim skraju Pomorza, gasło równocześnie życie zasłużonego człowieka. W ciągu trzydziestu lat pracy literackiej wypełniał on testament ostatniego księcia pomorskiego, Mestwina II, testament, którego istotą było złączenie Pomorza z Polską.

Teraz zbliżał się kres, kres niestety! — pełen tragizmu. Wali się oto w gruzy przedmiot wszystkich tęsknot i poczynań, dzieło odrodzenia i zjednoczenia, przez długie lata wespół z innymi mozolnie budowane!

Z bolesnym smutkiem patrzy przez szyby okna i przez szpary drzew, które osłaniają czerwony, schowany w ogrodzie dom. Tam na wiejskiej drodze widzi zwycięsko i butnie kroczącego wroga. Od strony Nakła dochodzą odgłosy bitew... Przez głośnik płyną rozpaczliwe wołania Warszawy...

Serce, trawione oddawna chorobą, szarpie się niespokojnie i groźnie. Do drzwi puka śmierć. Domowa opieka siostry w Krostkowie już nie wystarcza: chory zmuszony jest przenieść się do szpitala w pobliskim Wyrzysku. Fachowa pomoc lekarska jednakże i tutaj jest bezskuteczna. Życie z dniem każdym przygasa i wreszcie puls przestaje bić. „Zegar stanął". Kalendarz wskazuje 2-gi października.

Na dalekich Kaszubach, na półwyspie helskim, kilkanaście godzin przedtem zamilkły ostatnie strzały bohaterskiej obrony.

Nie była to śmierć gwałtowna, bezpośrednio zadana ręką wroga, niemniej przyśpieszona tym wszystkim, co stało się w ciągu września.

W czasie jednej z ostatnich rozmów powiedział do siostry:

— „Polacy nie umieli dostatecznie kochać swej Ojczyzny — stracili bezcenną wolność; — do jej odzyskania czeka ich teraz długa i ciężka droga; — wierzę, że znów Ojczyznę zdobędą, — ale wtedy pokochają ją rzetelniej i prawdziwiej!"...

* * *

Okoliczności tak się ułożyły, że z Janem Karnowskim zetknąłem się tylko dwa razy. Pierwsze spotkanie miało miejsce 22 sierpnia 1937 r., kiedy Kartuzy przeżywały wielkie święto literacko-artystyczne z powodu prapremiery sztuki ks. Bernarda Sychty pt. „Hanka się żeni" (wesele kaszubskie), przygotowanej starannie przez Studenckie Koło Miłośników Sceny Kaszubskiej. Widowisko ściągnęło nie tylko liczną miejscową publiczność, lecz także wszystkich prawie literatów kaszubskich z autorem sztuki oraz Aleksandrem Majkowskim na czele. Po przedstawieniu podszedłem do Karnowskiego, który przyjechał aż spod Wyrzyska. Znalazłem go pod silnym wrażeniem i mocno podnieconego. Zaczął też dzielić się od razu swymi uwagami, które — poza kilkoma tylko zastrzeżeniami — były pełne przychylności dla autora i aktorów. Swoją opinię o nowym utworze Sychty powtórzył później w recenzji, zamieszczonej w „Tece Pomorskiej".

W niespełna pół roku później odbył się znowu wielki zjazd w Kartuzach, tym razem jednak nie na wesele, lecz na smutny i niezmiernie bolesny pogrzeb. 10 lutego 1938 r. zmarł Aleksander Majkowski — ten, który od blisko czterdziestu lat był duchowym przywódcą Kaszubów. Wszyscy, którzy w ciągu swego życia z nim współpracowali lub choćby tylko rozumieli wybitną jego rolę w kulturze polskiej, podążyli na pogrzeb, by ostatnią oddać mu przysługę.

W kondukcie znalazłem się szczęśliwie obok Karnowskiego i ks. dr Leona Heyke'go, trzeciego po Majkowskim i Karnowskim poety i pisarza z kręgu „Gryfa". Rozmowa — rzecz oczywista — toczyła się na temat Zmarłego. Mówiliśmy o olbrzymiej stracie, jaką Kaszuby poniosły. W pewnym momencie zwróciłem się do Karnowskiego z zapytaniem: „Czy wszystko u Majkowskiego jest dla Pana jasne? Czy na wszystko się pan zgadza?"

— Odpowiedział: — „U Majkowskiego są momenty, które niepokoją i sprawiają zakłopotanie, lecz wydaje mi się, iż jest to wynikiem pewnych kryzysów, których żaden człowiek nie jest pozbawiony. Ważne są chwile mocy wewnętrznej, a te są dostatecznie liczne i tak cenne, że można Majkowskiemu zapomnieć to, co wielkość jego obniża".

Droga nasza zaczęła się piąć; wchodziliśmy na pagórek, gdzie położony jest cmentarz. Wynikła teraz sprawa przemówienia nad grobem. Oczy Heyke'go i moje spotkały się na twarzy najstarszego z żyjących literatów pomorsko-kaszubskich. Karnowski rzekł:

— „Nie mogę przemawiać. Nie czuję się zdrów. Przeziębiłem się w czasie podróży i czuję bolesne szarpanie głowy. Nie mogę. Księże, (do Heyke'go) pożegnajcie Wy Majkowskiego!

Ale Heyke wzbraniał się bardzo silnie:

— To absolutnie niemożliwe! Liczyłem na was i niczego nie przygotowałem. Teraz już zapóźno! Przemawiać nie mogę!

Wymawianie się chorobą nie było u Karnowskiego wykrętem. Pora zimowa i dojmujące zimno lutego spowodowały, że odchorował pogrzeb Majkowskiego. Doniósł mi o tym w liście z d. 3. III. 38, dodając: „Do dziś leżałem ze strasznymi bólami głowy".

Owego dnia wieczorem spotkałem się z Karnowskim powtórnie w zacisznym pokoiku restauracji dworcowej. Stół, przy którym siedzieliśmy, pogrążony był w półmroku. Do dziś tkwi mi dobrze w pamięci jasna, pełna twarz, łysina, a przede wszystkim oczy: szczere, uczciwe, przymglone nieco jakąś tęsknotą, ożywiające raz po raz niespokojnym błyskiem. Nie mogę powiedzieć, by Karnowski wywarł na mnie wówczas silne wrażenie, raczej zaskoczył swą niepomierną cichością, wstrzemięźliwością słów, zbyt wielką — jak mi się wydawało — skromnością. Widz postronny nie rozpoznałby w nim człowieka, który wyrósł wysoko ponad przeciętność.

Karnowskiego interesowała działalność „Teki Pomorskiej", mnie zaś — jego twórczość. Było dla mnie rzeczą ważną dowiedzieć się, że autor „Nowotnych śpiewów" — mimo postępującej choroby serca i oczu — nie ma zamiaru odłożyć pióra. Nęci go wiele nowych tematów, rozpoczęte prace zaś czekają na wykończenie. Jak dawniej tak i teraz zajmuje go szczególnie postać Derdowskiego. Był to okres, kiedy i ja Derdowskim zająłem się bliżej. W „Kaszubach" ogłaszałem właśnie jego „nieznane prace". Na ich temat zeszła więc z kolei nasza rozmowa. Karnowski wyraził wątpliwość, czy słusznie przypisuję Derdowskiemu autorstwo tych prac, był bowiem skłonny przy-

pisać je raczej komu innemu. Wywiązała się bardzo ożywiona dyskusja, która przeniosła się następnie do korespondencji.

* * *

Dzisiaj nie ma już wśród nas Jana Karnowskiego. Czas więc zadać sobie pytanie: jaką wartość przedstawia praca jego życia?

Wśród grupy Młodokaszubów, której działalność zamyka się w latach 1899—1939, Karnowski zajmuje drugie co do ważności miejsce po Majkowskim, przywódcy ruchu, człowieku najbardziej z wszystkich uzdolnionym i prężnym. Trzeba jednakże zauważyć, że pozycja redaktora „Gryfa" z lat 1908—1912 nie byłaby do tego stopnia silną, gdyby nie miał współpracownika tak oddanego sprawie, tak sumiennego i wykształconego, jak Karnowski. Koncepcja kaszubskiego miesięcznika regionalnego oraz późniejszej organizacji Towarzystwa Młodokaszubów dojrzała dopiero po dyskusjach z Karnowskim. Gdy zaś „Gryf" już powstał, on nie tylko zasilał go obficie artykułami i poezjami, ale był także głównym jego propagatorem na zewnątrz. Liczne notatki w czasopismach polskich (podpisywane pseudonimami) odświeżały stale uwagę społeczeństwa, że nad Bałtykiem istnieje lud polski, który obudził się do życia i któremu należy przyjść z pomocą.

Przy rozpatrywaniu działalności pisarzy kaszubskich interesuje nas zawsze jej strona ideowa. Nie da się zaprzeczyć, że znajdujemy w niej niekiedy szczegóły, które nie są dość jasne i zrozumiałe, stąd budzące refleksje i podejrzenia. Wiele powodów do nieporozumień dał w swoim czasie Florian Ceynowa — działacz do dzisiejszego dnia niedostatecznie poznany i niesprawiedliwie oceniony. Także u Majkowskiego zjawiają się momenty, sprawiające kłopot przy ich ocenie. Sporo słusznych zastrzeżeń wywoływała przedwojenna działalność „Zrzeszyńców" — jednego odłamu młodego pokolenia.

U Karnowskiego nie spotykamy żadnej skazy. Droga jego działalności kaszubskiej od początku do końca jest jasna i zrozumiała. Nie widzimy na niej wahań i załamań. Kroczy nią pewny siebie, świadom, że cel, do którego dąży, jest słuszny i wielki. A celem tym: rozbudzenie u Kaszubów świadomości kulturalnej, starcie z ich mowy piętna pogardy, lekceważenia i upośledzenia, danie wyrazu duszy kaszubskiej z całym jej bogactwem tkwiącym w historii i w folklorze; poprzez te środki zaś — zbliżenie Kaszubów ogółowi polskiemu i kulturze polskiej. Karnowski wiedział, że w tym programie, któremu przez całe życie konsekwentnie służył, mieści się sens ideowy testamentu Mestwina II, testamentu dotychczas nie wykonanego. Dlatego to właśnie mianem „Mestwina" ochrzcił pismo literacko-naukowe, któremu w latach 1925—1927 patronował i w którym — jak sam się wyraża — „realizował swoje poglądy regionalno-pomorskie".

Dzięki tym założeniom ideowym i pracom wykonywanym w ich duchu Karnowski zasługuje na tytuł wytrwałego realizatora testamentu ostatniego księcia pomorskiego.

Zaznaczone wyżej podejście do zagadnień regionalizmu pomorsko-kaszubskiego, podejście niewątpliwie rozsądne, zdrowe i twórcze, pozwala sformułować dalsze stwierdzenie, mianowicie że Karnowski jest przykładem wzorowego regionalisty polskiego.

Wcześnie uporawszy się z uchwyceniem linii przewodniej, był zawsze niezmiernie czuły na wszystko, co od tej linii odbiegało. Nic, co spraw kaszubskich tyczyło, nie uszło jego uwadze. Cieszył się każdą nową na tym terenie zdobyczą i bolał nad każdym złem. Swoją świadomość kulturalną rozszerzał i pogłębiał nieustanną pracą bądź przez liczne studia historyczne, bądź przez obserwację bieżącego życia. Zdobyty krytycyzm stosował do siebie i do innych. Odgrywał w regionaliźmie kaszubskim rolę wrażliwego sumienia.

Działalność literacka Karnowskiego jest bardzo bogata i różnorodna. Wielorakie potrzeby nie pozwalały ograniczyć się do jednego działu twórczości. Próbował przeto swoich sił i w poezji, i powieści, i dramacie, i krytyce literackiej, i historii. Łączna ilość jego prac przekracza półtora setki. Większość znajduje się w rozproszeniu po rozmaitych czasopismach; z rękopisów nie wszystko się zachowało, część zaś czeka jeszcze na opublikowanie. Wydań książkowych jest tylko kilka. Są to: „Nowotne spiewy (Wiersze kaszubskie)" — Poznań 1910; „Ludność kaszubska w ubiegłym stuleciu. Szkic społeczno-kulturalny" (Toruń 1911); „Filomaci pomorscy" (Toruń 1926); „Historia Czerska i Ekonomii Czerskiej" (Czersk 1935); „Bojka o Sodłatym" (Kartuzy 1939). Poezje i opowiadania ogłaszał pod pseudonimem Wosia Budzysza lub Zeta, artykuły do 1914 roku — przeważnie pod pseudonimem Janowicza.

Trwałą pozycję zajmuje przede wszystkim jego liryka. Na tym polu niewiele miał przed sobą wzorów. To co z tego zakresu przed „Nowotnymi spiewami" stworzyli Derdowski i Majkowski („Spiewe i frantówci" z r. 1905) miało charakter raczej twórczości ludowej. Karnowski podniósł lirykę kaszubską do poziomu poezji artystycznej, bo taki właśnie charakter mają „Nowotne spiewy" oraz wszystkie późniejsze jego poezje. Np.:

„Wiater mnie budzeł kaszebsciech drzew,
Bojka w matczeny chace. —
Mestrem beł moim Jadamów spjew, *)
W całym go słuchołem lace.

Dzyso mnie uczy całuszci lud,
Ludowo mowa je normą.
Pomnik ten płynny, prowdzewy cud,
W swojską jo przelewam formę".

(„Spirytus flat, ubi vult", Gryf, VIII, 3)

Wielkie znaczenie mają także wszystkie jego studia historyczno-literackie, bo nikt temu działowi nie poświęcał tyle uwagi, co on. Napisał m. in. obszerną rozprawę na temat Ceynowy; przygotowywał monografię o Derdowskim ogłaszając przez wiele lat przyczynki do jego życia i twórczości; w ostatnich latach rozpoczął gromadzić materiał do historii ruchu młodo-kaszubskiego. Opublikował życiorysy szeregu innych osób, związanych z życiem kulturalnym na Pomorzu. Każdy więc, kto z tymi zagadnieniami pragnie się zaznajomić, musi sięgnąć do Karnowskiego.

Wobec dużej dzisiaj aktualności spraw pomorsko-kaszubskich, jest rzeczą pożądaną zebranie i opublikowanie najważniejszych jego prac. Byłoby to nie tylko uczczeniem zasług zmarłego pisarza, lecz także poważnym wkładem do zaspokojenia potrzeb naukowych i kulturalnych na odcinku kaszubsko-pomorskim.

*) T. j. poezje Adama Mickiewicza.

Stanisław Helsztyński

NA WYSPIE

Tak się jakoś dziwnie składa, że na parę milionów zwartej masy obywateli zawsze znajdzie się kilku takich co to odosobniają się i chodzą własnymi drogami. Za najgorszych czasów, w okresie niewoli, wtedy kiedy staraliśmy się utrzymać kurczący się stan posiadania naszej ziemi, istnieli ludzie z żywą wyobraźnią, którzy płynęli pod prąd i wyszukiwali dawne tereny, które niegdyś, niegdyś do Słowian należały, a na które oni, irredentyści nieprzejednani, nadal z tęsknotą spoglądali, jako niegdyś, a być może i kiedyś znowu nasze.

Wybierali się więc w wędrówkę krajoznawczą Bandtkie, Niemcewicz, M. A. Grabowski, A. i M. Parczewscy, Stanisław Bełza, Kisielewski, Wańkowicz i inni. Wyniki swych spostrzeżeń, zawsze rewelacyjne i entuzjastyczne, umieszczali w pismach.

Do takich słowianoznawczych wędrowników należał, rzecz to w takim regionaliście naturalna, również Wincenty Pol. Autor „Pieśni o ziemi naszej" i profesor geografii na uniwersytecie krakowskim, nie mógł nie znać siedzib, w których przed wiekami mieszkali praojcowie Polan.

W roku 1846 wybrał się Pol na Śląsk i „W listach z podróży", Lwów 1847, opisał swoje wrażenia, ujrzał polskość Śląska tego, którego jeszcze pionierzy-budziciele nie nawoływali do życia narodowego. Najlepszy to znak, że polskość ta na Śląsku trwała w swej biologicznej, wielowiekowej inercji nieprzerwanie od czasów władania książąt piastowskich, nie będąc sztucznie utworzoną w drugiej połowie XIX w.

Nasz śpiewak nie zakończył na Śląsku swoich słowianoznawczych wycieczek. W r. 1869 wydał „Na wyspie". Wyspą tą była Rugia.

Warto zapoznać się z opisem poety-profesora, tym bardziej, że jest to lekka i mile ujęta gawęda, prawdziwa relacja wywczasów letnich. Autor jakby chcąc się przygotować do wrażeń na Rugii, z Długoszem w ręku, z przyjacielem słowianofilem, zanurzonym głęboko w starożytnościach rodzimych, odbywa po Odrze tę podróż. Chętnie mieszają się obaj podróżnicy do towarzystwa, do wycieczkowiczów, gości kąpielowych, którzy tłumnie udają się na Rugię, gdyż działały tutaj zakłady kuracyjne w Podbórzu (Puttbus).

Pobyt na wyspie urozmaicają sobie goście polscy, Pol i jego towarzysz — malarz, jazdą powozem przez wyspę, długimi rozmowami z córką strażnika przy latarni morskiej w Arkonie i krótką gościną u rybaka na wschodniej stronie wyspy. Wrażliwi na piękno krajobrazu, obaj polscy panowie podkreślają co chwila niezwykłą malowniczość wyspy. Umieją się też wczuć w słowiańską przeszłość kraju, której pamiątki zostały tylko w nazwach miejscowości i kilku wyrazach zgermanizowanych autochtonów.

Rugia nie wchodzi w nasze Ziemie Odzyskane. Dobrze jest jednak pamiętać, że niegdyś do łańcucha ziem słowiańskich należała.

Dobrze jest od czasu do czasu poczytać sobie Wincentego Pola, dobrze wziąć do ręki Ignacego Matuszewskiego „Ostrów Boży", a jeszcze lepiej pogrążyć się kiedyś świąteczną chwilą w tym o czym mówi, wróciwszy z Arkony, Józef Kisielewski w swej słowiańskiej Biblii, której na imię „Ziemia gromadzi prochy".

Wojciech Bąk

BUDOWNICZYM ŚWIATA

Po powrocie jak ciężko szeptać słowa wargom...
Idę przez miasto ruin, badam dłonią rany.
I dzielę się bratersko rozpaczą i skargą
Jako chlebem goryczy ranne domów ściany.

Opowiadamy sobie milczeniem swe dzieje.
Słucham, a uśmiech warg mych jakże bliski płaczu,
Lecz chłopiec przechodzący do murów się śmieje,
A uśmiechy dziecięce zawsze radość znaczą!

Uśmiechnijmy się, gruzy! Jeszcze nam tak ciężko
Twarze śmiechem wyzwolić w metal smutku skute.
Ale uczą nas dzieci! Ich śmiech brzmi zwycięsko
I on zwycięży smutek!

* * *

Spotkałem dziś anioła. Było przed wieczorem...
„Cóż ty robisz, aniele, w siwej zmierzchu porze!
Mieszasz wapno! Z kilofem chodzisz i toporem!"
A on mi odrzekł: „Czemu nie pomożesz?"

„Czy to czas do budowy! Zaczekajmy jeszcze...
Zatrzymaj się... Dlaczego tak skąpe twe słowa!
Odpowiedź jego zimnym wstrząsnęła mną dreszczem:
„Nie mam czasu! Ja muszę budować!"

* * *

Wiem: on jest budowniczy! Widziałem go wszędzie.
Milcząc pełni swe dzieło — on — robotnik czysty!
I wiem, gdziekolwiek pójdę — on budować będzie
Z światłem dłoni w ruinach i wzrokiem artysty.

Zaprzągnięty w słupracę — bez spoczynku czyni,
Gdy gruz o dłonie woła w wieku niszczycieli.
— I w mieście domów rannych, w złych zwalisk pustyni
Postać jego nadzieją — słup światła — się bieli!

* * *

Pomagam mu jak mogę, lecz nie wiele mogę...
Znoszę cegły, uprzątam gruz i wapno mieszam —
A on — jak księżyc w zmroku — ucisza mą trwogę
I oczyma nadziei mój smutek pociesza.

Chciałbym nieraz odpocząć... Siadam na ruinach
I szepcę: „Dosyć znoju — praca to nie lekka..."
A on wzrokiem jak biczem krew w żyłach podcina:
„Nie ma czasu! Gruz dłoni budującej czeka!"

* * *

Cegły, które w dzień znoszę, noc z gniewem rozrzuca,
Lecz codzień znoszę cegły — w trudzie niewstrzymany.
I świtem nad zniszczeniem mój wzrok się zasmuca,
A wieczorem obliczam, jak budować ściany.

Wiatr mnie woła: „Chodź ze mną. Praca twa daremna.
Są trawy na spoczynek — są drzewa dla chłodu.
Będziesz miał spokój we dnie — i cicha noc ciemna
Rozwiesi ponad tobą gwiazd mądrość pogodą"...

I chciałbym iść... I ręce żegnaniem podnoszę,
Lecz anioł moje kroki spojrzeniem zawrócił —
I zostaję z aniołem. I w dzień cegły znoszę,
Które noc rozrzuci!

* * *

Dzisiaj rzekł: „Niechaj niszczą. My będziem budować.
Nie nasza troska o to. Stróż nad nami stoi —
Nam tylko gruzy w miasta kształtować od nowa —
I — gdy znów miasta zburzą — trud dwoić i troić...

Jest wielki Stróż nad nami! Nam nie wolno pytać —
On — milcząc każe czynić i trud ten pochwala!
„Wstań z ruin! I za kilof pewną ręką chwytaj!..."
I znów znosimy cegły — i noc je rozwala!

O, gruzy biedne miasta — i wy, ludzkie gruzy!
O, nadziejo! Gdy anioł do budowy woła.
...I znów przechodzi chłopiec. Uśmiech jego wróży
Gruzom ludzi i domów zwycięstwo anioła!

Chłopcze, chłopcze, uśmiechaj się! Ten uśmiech w słowach
Jak tęcza się zawiesił nad rumowisk lata —
— I będzie śmiał się wszystkim, co będą budować
Niezłamanym zniszczeniem — budowniczym świata!

Tymon Niesiołowski

HENRYK KUNA

Szybki rozwój malarstwa nie szedł u nas w parze z rozwojem rzeźby i rozpowszechnieniem jej wśród szerokich mas inteligencji; raczej użytkowe miała zastosowanie: pomniki na placach i w ogrodach publicznych, posągi upiększające świątynie tak wewnątrz, jak i zewnątrz. Częściej spotykało się w domach ludzi zamożnych portret, obrazek rodzajowy, miniaturę, niźli biust w gipsie lub marmurze. Od niemal stu lat dziwne to zjawisko mogliśmy obserwować. Być może, że podkopywano tradycję, która kwitła przecież za ostatniego króla polskiego. Tak czy inaczej, najzamożniejszy obywatel wolał zostać uwiecznionym na płótnie, niźli być wyrzeźbionym w marmurze lub brązie. O rzeźbie oderwanej od tej użytkowości praktycznej, nie mogło być mowy. Można rzec, że dopiero Rodin rozpowszechnił dzieło rzeźbiarza jako utwór sam dla siebie istniejący. Nadał rzeźbie prawo obywatelstwa w całym świecie burżuazyjnym. A z tej demokratyzacji weszła rzeźba do abstrakcyjno banalnej formy, która pokutowała długo, rodząc naśladowców z najpospolitszych kokieteryjnych rzeźbiarzy, którzy pragnęli olśnić widza naśladownictwem natury, odbiegając od dostojnych praw wielkiej sztuki Grecji i gotyku. Prawdopodobnie barok wynaturzył rzeźbę, jeśli sie tak można wyrazić. Nadrozwój tych form banalnych był poniekąd przyczyną, że artyści świadomi postanowili zerwać z tym konwenansem.

Odrodzenie rzeźby rozpoczęło się we Francji po Rodinie, wielkim genialnym rzeźbiarzu nie do naśladowania. Bo naśladowca nigdy nie osiągnie pełni, nie przechodząc męki wybierania z natury tych elementów, z których składa się prawdziwa twórcza sztuka.

Taką drogą poszukiwań szedł Henryk Kuna. Od impresji w glinie — do materiału, szlakiem jasnej sztuki Bourdella i Maillola. Nauczył się cenić pracę jeszcze u kamieniarza w Paryżu, u którego uczył się prawdziwego rzemiosła. Bowiem Akademię Krakowską opuścił po studiach li tylko w glinie.

Rozpoczyna Henryk Kuna walkę z materiałem i z wyszukiwaniem w naturze antycznej prawdy, prawdy która rządzi dziełem rzeźbiarskim. Nie wypacza i nie rozdrabnia formy ale ją skupia, wyławia dla swej pracy z modela jego istotną budowę, odrzucając wszystko co masę psuje i działa destrukcyjnie. Szuka dla siebie nowego wyrazu.



HENRYK KUNA „GŁOWA"

Powstaje szereg głów w marmurze już tak skończenie sharmonizowanych, że nie wielu rzeźbiarzy mogło się poszczycić tak głęboko pojmowaną naturą i subtelności jej przeniknąć do krańców możliwości.

Forma u Henryka Kuny powstaje od najmniej złożonych, jak głowa kompozycyjna, aż ku najwyższym formom jaką jest postać ludzka.

„Kobieta z jabłkiem“ — praca w drzewie pełna powagi i wdzięku aż po akt kobiecy, który artysta nazwał „Rytmem“. Praca ta była wystawiona na międzynarodowej wystawie w Paryżu, potem ustawiono ją w parku Skaryszewskim w Warszawie. W tych pracach mamy już pozytywny wynik usiłowań Henryka Kuny. „Trzy Marie“ należą do tego samego okresu twórczości artysty, jak i duży krucyfiks zakupiony do Anglii.

Następny etap będzie okresem portretów, bardzo monumentalnie pojętych, bez zatraty modela. Do najwybitniejszych z tych prac można by zaliczyć portrety: Wojciecha Jastrzębowskiego, prof. Tadeusza Zielińskiego, artysty malarza Kamila Witkowskiego. Większość z tych prac leży pod gruzami w Warszawie przy ul. Czackiego. Brązy może ocalały, innych prac przygotowawczych, jak gipsów, prawdopodobnie już się nie odzyska. Pracownia Henryka Kuny dźwiga na sobie cały sąsiedni dom zamieniony w rumowisko.

Inna dziedzina pracy, to pomnik Adama Mickiewicza, nagrodzony na ścisłym konkursie w Wilnie. Osiem płaskorzeźb, które miały ozdabiać cokół pomnika, pozostało w Wilnie. Sama postać Mickiewicza, już odlana w brązie, została pocięta przez Niemców i przetopiona. Płaskorzeźby wspomniane, to sceny z „Dziadów“. Noszą one wszystkie najlepsze cechy talentu artysty. Wiele wyrazu dramatycznego posiadają sceny z celi Konrada

Wielka byłaby szkoda, gdyby nie dało się prac tych przewieźć do kraju i ustawić, zanim nie znajdą innego zastosowania, w Muzeum Narodowym w Warszawie.

Okres wojny Henryk Kuna przeżył częściowo w Świdrze pod Warszawą, pod koniec w Milanówku. Po stracie jedynego syna Jacka, popadł w chorobę serca, która okazała się nieuleczalną. Nie przestał jednak marzyć o pracy i w swym osamotnieniu snuł projekty na przyszłe dzieła. Niestety, nie danym mu było już stanąć z dłutem w dłoni. W dnie jesienne, październikowe, z wielkim trudem i narażeniem swego zdrowia przyjechał do Torunia, by objąć katedrę rzeźby na Wydziale Sztuki przy Uniwersytecie Mikołaja Kopernika.

Chciał jeszcze pracować, łudził się, że wejdzie w kontakt z młodzieżą. Przeczulony, niepokoił się ustawicznie, czy będzie miał dostatecznie dobrą pracownię dla studentów.

„Rzeźba przecież musi być wysoko postawiona w wolnej Polsce“ — mówił. Projektował pomnik bohaterów śląskich, kazał sobie wnieść sztalugę do pokoiku, w którym mieszkał, by porysować trochę. Rysunków jednak żadnych nie odnaleziono.

Ostatnią jego lekturą był Emerson, którym się zachwycał. Odnajdywał w książce pisarza angielskiego zdania, które sam by wypowiedział.

Dnia 17 grudnia ok. południa już nie żył.



Rysował: JAN WODYŃSKI

Ze śmiercią Henryka Kuny zamyka się jakby pierwszy świadomy, pełny rozkwit rzeźby polskiej. Tej gałęzi sztuk plastycznych, w której nie mamy zbyt wiele dostojnych przedstawicieli poza Dunikowskim, Brejerem i Zamojskim. Rzeźba polska była początkowo w wielkiej zależności od pseudo klasycyzmu. Od Godebskiego aż po Laszczkę (który był profesorem Kuny), nie wykracza poza przeciętną poprawność.

Kuna pozostanie jednym z tych twórców nowoczesnej rzeźby, obok których nie może przejść obojętnie historia sztuki. A trwałe wartości jakie pozostawił po sobie, będą świadectwem Jego niepospolitego talentu.

Maria Krzemieniowa

DZIAŁO SIĘ DNIA 5-GO STYCZNIA W ROKU 1946

Ranek był chłodny i mroczny. Od Wisły dął silny wiatr. Leciał ponad starymi murami miasta i wkradał się raz po raz w biało-czerwone chorągwie. Na tle chmurnego, zimowego nieba rozrzucał z łopotem tę biel i czerwień, że zdawała się płynąć nad miastem. W zamęcie tym kryła się jakaś wizyjność na razie nieuchwytna i daleka, a przecież tak silna, że narzucać poczęła wyobraźni obraz, który precyzował się zwolna, aż stał się całkiem zrozumiały: nad Toruniem przepływała fantastyczna przestrzenna fregata, witająca zawsze wierne Rzeczypospolitej miasto w dniu jego wielkiego święta.

Zawsze wierne?

Oczy spoczęły na harmonijnej bryle ratusza.

Otoczony i zamknięty kamienicami stał pośrodku Rynku jak twierdzą, w której murach żyje duch przeszłości. W tym wielkim dla Torunia, Pomorza i Polski dniu trzeba było zażądać od niego rachunku. Rozważyć zawiłość dzisiejszych spraw i spojrzeć w oczy sprawom dawnym. Święciło wszak dziś miasto najgodniejszy przywilej, otwierało oddrzwia uniwersytetu. W chwili tej wolno było rzucić stare zawołanie rycerskie: paratus? — i wsłuchać się uważnie, czy padnie godna odpowiedź: semper paratus!

Szczycił się Toruń przywilejami królewskimi, z monarszych rąk dostawał medale, wszakże nie dostąpił zaszczytu najdoskonalszego — nie stał się miastem, w murach którego żył uniwersytet. Dopiero dziś — w ten brzydki i chmurny dzień styczniowy dokonały się losów zrządzenia i dziś wolno cię spytać, stara nadwiślańska twierdzo, czyś sercem zawsze była z Rzeczypospolitą, czyś godna, by z jej rąk otrzymać przywilej władzy nad ludzkimi duszami? I oto z nagła rzeczywistość stała się ułudą, pierzchła, jakby w popłochu, porwana pędem uciekających wstecz dni, lat, wieków. Ożyła przeszłość, wywołana fantazją i wkroczyła na scenę życia. Rok 1772. Warczą bębny. Wojska pruskie zajmują Pomorze. Ciągną długimi kolumnami, wsiąkają w miasta i wsie polskie nowi panowie starej, polskiej ziemi, zdobywcy, służący bezprawiu, bohaterowie narodu, którego bogiem jest gwałt, a sumieniem — dziejowe fałszerstwo.

— Pamiętasz? — pyta echo.

— Pamiętam.

— W sali ratuszowej zebrali się rajcy.

— Wszystko stracone — tłumaczą urzędnicy pruscy. Rada miejska musi wezwać opieki króla Fryderyka. Od waszej mądrości zależy stosunek do Torunia najjaśniejszego pana, nadanie przywilejów, pomnożenie dóbr, potęga gospodarcza, cała wielka przyszłość...

— Gwarantował nam ją miłościwie panujący Stanisław August.

Rada odmawia. W sali panuje cisza. Ze złoconych ciężkich ram patrzą polscy królowie. Za oknem stoi wrześniowy zmierzch. Od strony Wisły słychać zgrzyt spuszczanych zapór w miejskich bramach.

Rok 1773. Rada otrzymuje memoriał kupców, domagający się przyłączenia Torunia do Prus. I tym razem nie ustąpi.

— Jedna jest tylko ojczyzna i jednemu panu można służyć. Memoriał zostaje przesłany do Kanclerza Wielkiego Koronnego. Urzędnicy pruscy zagarnęli wszystkie prawie dobra miejskie. Miasto odmawia z nich hołdu. Zacięta, głucha walka trwa. Partia pruska żąda przyłączenia Torunia do Prus. Nacisk silny, bezwzględny, spotyka się z równie silną wolą Rady, która i teraz nie ustąpi i bronić będzie praw Rzeczypospolitej nawet wówczas, gdy nad zdjętą bezwładem, złe erynie skandować będą urągliwe requiem aeternam.

23 styczeń 1793 rok. Prusy już nie proszą. Prusy ślą Toruniowi wyraz swego gniewu, żądają otwarcia bram miejskich.

— Nie wejdzie obce wojsko w bramy polskiej fortecy. Spadną zapory żelazne.

— Więc tak?

— Tak.

24 stycznia Prusacy podchodzą pod Toruń. Gniewni, obrażeni. Jedyne miasto ze wszystkich miast polskich, podzielonych sprawiedliwie między trzech mocarzy — opór stawiać zamierza? Naigrywa się z króla i pana tych ziem? Zdobędziemy więc je szturmem... Słowa rzucone lekko, ale pasja dławi, gdy rozkaz: rąbać bramy! — rozlega się pod murami Torunia. Padają pierwsze razy. Głucho, miarowo, jakby w wieko trumny ciężki młot wbijał ostatnie gwoździe. Słońce krwawo za Wisłę się stacza. Refleks pożaru pali okna Ratusza. Czerwienią zmierzcha historyczna chwila.

Raz... dwa... trzy... i cisza — czekają rębacze, czy strach małej załogi bram nie otworzy.

Rajcy w sali ratuszowej zebrani. Twarze skupione. Decyzja jakaś się waży, we wszystkich oczach ją widać. Cisza kołysze miarowy pogwar zegara. Czas mija... Duch przeszłości wchodzi na salę, by zabrać na własność godzinę, która należy do historii Polski.

Z nagła czyjeś kroki gwałtownie rozbiły ciszę. Drzwi się rozwarły z impetem. W progu staje Malicki — kapitan milicji. Za oknem zmierzch się pogłębia. Czerwień gaśnie, mozolnie dźwiga się w górę głęboki, surowy fiolet. W refleksach gasnącego dnia, który salę napełnia, stoją tak naprzeciw siebie ten ostatni kapitan polski i ostatnia rada miejska. A od strony Wisły,

walą coraz silniej młoty i rośnie gniewny, pogwar oblężenia.

Raz... dwa... trzy...

Gdyby tak teraz cud... z dalekiej perspektywy, z poza wiślanych łanów — wojsko polskie, gdyby tak cofnąć historię i wskrzesić błękitem przepojony dzień 27-go maja 1454 roku. Dzwony biją, łopocą chorągwie — zamęt barw i zamęt dźwięków. Kazimierza Jagiellończyka, rycerstwo polskie, wita Rada Miejska. Niezliczone poczty sztandarów...

... I wiernie stać chcemy przy Rzeczypospolitej i bronić jej interesów...

— Zamknięte mieć wszystkie bramy! Nie otwierać! Niech rąbią każdą po kolei!

Ostatnia rada miejska przekracza próg historii Polski — bytującej już w przyszłości.

* * *

Wypielęgnowana, miękka ręka Stanisława Augusta podnosi zwolna ku oczom ozdobne face à main. Brabancka koronka leciutko opada na atłasowy rękaw fraka.

...Toruń błaga Jego Królewską Mość o pomoc przeciw Prusakom, którzy gwałtem do miasta wtargnęli. Toruń czeka na decyzję i zawsze gotów jest bronić interesów ojczyzny...

Z królewskiej białej dłoni wypada zwolna papier. Głowa odchyla się w tył i znajduje oparcie w pąsowym adamaszku fotela, tworzącym piękne tło dla białej misternie ufryzowanej peruki. Zgięty w kontrapoście amor patrzy z uśmiechem na bezwład człowieka, który chciał być królem.

Nic jednak w życiu, co wielkie i piękne, zginąć nie może. List, który upadł z bezwładnej ręki, podniesie historia, by po 153-ch latach nadać zań miastu najdostojniejszy przywilej: prawo otwarcia uniwersytetu.

* * *

Nie weszli na mszę pontyfikalną do kościoła Najśw. Marii Panny dostojnie w togach długich i czarnych, na których złote lśnią łańcuchy, nie poprzedził pochodu pełen powagi i treści symbol władzy rektorskiej, nie słyszeli pogwaru tłumu: senat idzie... A przecież wrażenie większe zrobili, idąc w swych paltach wytartych, ludzie bezdomni, niosący tym ziemiom ideały prawdy, piękna, dobra — miłości Ojczyzny i dostojeństwa nauki polskiej, która nie ugięła się przed presją wroga i nie chciała kupić łaski za cenę honoru.

W mrokach tonęły boczne nawy gotyckiego kościoła. Z chóru pieśń „Bogurodzica" spływała. Słyszały ją nieraz stare mury. Kazimierz Wielki słuchał w Toruniu tej pieśni i Kazimierz Jagiellończyk i Batory.

...Boże Piastów, Boże Jagiellonów... modlił się celebrant mszy pontyfikalnej, a słowa jego padały w wielką ciszę, która napełniał rozgwar ludzkich serc, zdjętych głębokim wzruszeniem.

W auli uniwersyteckiej, podczas inauguracji pierwszego roku akademickiego, dokonał się akt sprawiedliwości dziejowej i politycznej mądrości.

„...obok odbudowy warsztatów pracy codziennej — mówił Jego Magnificencja rektor prof. dr Kolankowski — ponad nią niejako, unosi się ciągle wznawiane usiłowanie związania naszej linii bytu z rytmem fal ogólnoludzkich. Instynktownym niemal wyrazem tego dążenia jest usiłowanie nasze włączenia się w szeregi pionierów nauki, tego, jako studium od wieków całych nowego, obok rzymskiego imperium i sacerdotium, trzeciego czynnika władzy nad duszami, urastającego za dni naszych do głównego i jedynego instrumentu potęgi narodów i przyszłości całej ludzkości".

Maria Krzemieniowa.

Mieczysław Tomaszewski

WIELKI PIEŚNIARZ Z WARMII

Wartembork, nieduża mieścina pośród jezior i ciemnych świerkowych lasów mazurskich jest o niecałe 30 kilometrów odległa od stołecznego Olsztyna, słynnego starym zamkiem krzyżackim i strzelistymi wieżami kościoła św. Jakóba. Rok 1920, wraz z świeżym oddechem upragnionej wolności przyniósł tu z dalekiego Poznania pozdrowienie braterskie. Podawano je sobie z rąk do rąk, z chaty — do chaty, gdzie zaś znalazły się skrzypce, lub klawikord, zaczęła rozbrzmiewać pieśń podniosła i dumna:

„O Warmio miła,
Rodzima ziemio ma!
Tyś mnie do snu tuliła,
Miłością pieśń ma drga.
...Olsztyński zamek stary
Krzyżactwa mieścił ród,
Dziś polskie tam sztandary
I odrodzenia cud!"

Ze starych szpargałów wyciągnięta, pożółkła kartka: z jednej strony napis „pocztówka", — z drugiej, poniżej widoku z Olsztyna, cztery pięciolinie z podpisanym tekstem i nagłówkiem: „Hymn Warmiński. Słowa Marii Paruszewskiej, muzyka Feliksa Nowowiejskiego, **rodaka z Warmii". Wów**czas radosne „**Te Deum**" zwycięstwa:

„...Niewoli srogiej pęta
Rozerwał dziś sam Bóg!"

dzisiaj — niemy **świadek** srogo zawiedzionych nadziei, które dopiero w 25 lat później miały się **spełnić...**

W **Wartemborku** urodził się Feliks Nowowiejski, syn mazurskiego ludu. Wyrósł z od wieków umęczonej gleby, wyszedł z kręgu, gdzie walka z pruskim zalewem stała się chlebem codziennym. Wydała go ziemia kamienista, nieurodzajna a ciernista, na której każdemu krokowi towarzyszy zdradliwe stąpnięcie Smętka. Nie dziw więc, że wyrósł na człowieka mocnego, zahartowanego od młodu, mającego już we krwi nienawiść krzyżactwa i umiłowanie wszystkiego co polskie. Te cechy odnajdziemy w całej jego twórczości, której nie potrzebujemy nazywać przełomową czy genialną, ale musimy uznać za wybitną i nieprzemijającą.

Treścią jego życia od samego zarania była walka; zmaganie się z formą, w której chciało się wypowiedzieć. Wszystkie utwory Nowowiejskiego powstawały zawsze w wielkim wysiłku twórczym: równym natchnieniu była praca. Spuścizna twórcy psalmu „Ojczyzna" pozbawiona jest zupełnie łatwizn; wszędzie muzycznemu natchnieniu towarzyszy rzetelny wysiłek, — przed którym chylimy czoła.

Syn umęczonej ziemi warmińskiej wziął z niej wszystko, co miała najszczytniejszego, by rozgłosić szeroko jej imię. Warmia i nieznany Wartembork mogą być dumne ze swego rodaka, a razem z nimi całe Ziemie Zachodnie, z którymi swą twórczość i koleje życia związał.

Jako paroletniego chłopca zastajemy go w szkole przyklasztornej w **Świętolipkach** mazurskich. Tam pokazano mu prawdła gry fortepianowej, na skrzypcach i organach, tam też, jako 10-letni chłopiec pisze swe pierwsze „kompozycje". W parę lat później, — dla kawałka chleba — gra w orkiestrze wojskowej w Olsztynie.

Niespodziewana nagroda na konkursie muzycznym w Londynie pozwala mu rzucić niemiłą pracę i udać się na studia do Berlina. Ludwik Bussler i Taubert uczą go zasad harmonii, kontrapunktu, dyrygentury i kompozycji. Ale nie trwa długo — i 22-letni, nieźle zapowadający się już muzyk, autor kwartetu smyczkowego i symfonii musi niestety wracać do rodzinnej Warmii: po półrocznej nauce środki pieniężne się wyczerpały. Zostaje organistą w kościele św. Jakóba w **Olsztynie.** Z zapałem odaje się nowej pracy, zyskując coraz to nowe doświadczenia.

Duch walki nie pozwala ustać w połowie wytyczonej drogi: zdobywa się na wyjazd do Ratzybony, który później tak zaważy na charakterze twórczości, skłonnym do formy i treści religijnej. Po Ratzybonie zgłębiwszy arkana chorału gregoriańskiego, przejęty kultem Palestriny wraca na studia dalsze do Berlina. Mistrzem jest mu znany wokół, lepszy pedagog niż kompozytor Max Bruch. Dwa lata ścisłych studiów, szczególnie w kierunku kontrapunktu, dyry-



LEON WYCZÓŁKOWSKI

ŚWIERKI

LITOGRAFIA

gentury i kompozycji, uzupełnianych równoczesną nauką na uniwersytecie (literatura, muzykologia, estetyka), to okres niesłychanego wysiłku, nakładu pracy aż do samozaparcia. Bo czynna natura Nowowiejskiego pcha go w wir życia społecznego: okres berliński stoi pod znakiem początków szczytnej działalności na polu śpiewactwa. Młody kompozytor mający już w swej tece obok szeregu pieśni, psalmów i suit orkiestralnych utwory tej miary co np. na żywiołowej rytmice ludowej oparta uwertura symfoniczna „Swaty Polskie" — w nielicznych godzinach wolnych od nauki i pracy twórczej oddaje się z młodzieńczym zapałem organizacji polskich chórów, urządzaniem zjazdów i popisów śpiewaczych przy okazjach świąt i rocznic narodowych, w centrum znienawidzonej przez siebie niemczyzny.

Działalność berlińska Nowowiejskiego — to preludium do dzieła, które parę lat później w Krakowie (gdzie piastował godność dyrektora Tow. Muzycznego) miało przynieść narodowi nowy hymn. „Rota", napisana w rocznicę grunwaldzką nie jest u Nowowiejskiego jakimś kapryśnym wyskokiem twórczości: to wyraz głębokich przekonań kompozytora idących równolegle z myślą autorki „Nie rzucim ziemi", to logiczne uzasadnienie i uwieńczenie dotychczasowej działalności. A równocześnie — zapowiedź przyszłej, nie mniej owocnej.

Jest to czas, gdy sława kompozytora oratorium „Quo vadis" dostaje wielkich skrzydeł. Nagroda za nagrodą, sukces za sukcesem na swoich — i szczególnie zagranicznych estradach. A wraz z tym: zaszczytna propozycja objęcia katedry kompozycji po sławnym Maksie Regerze w Lipsku. Ten zaszczyt, wyświadczony wrogowi przez słynący nietolerancją naród jest miarą twórczej wielkości.

Koniec Wielkiej Wojny z wytęsknioną wolnością przyniesie również dużo złudnych nadziei. A przede wszystkim tę: Warmia i Mazury mają należeć do Polski, jak Śląsk i Bałtyk i Pomorze. Stara nadwiślańsko-nadbałtycka ziemia rodzinna ma wrócić do Macierzy!

Jedną z pierwszych czynności Nowowiejskiego wracającego do kraju, by osiąść na stałe i na długo w Poznaniu jest napisanie z myślą: „nie rzucim ziemi, skąd nasz ród" — **hymnu warmińskiego**, rozesłanego w dziesiątkach małych ulotek po rodzinnej ziemi ,jako pozdrowienie i pokrzepienie nadzieją serc bratnich. Nie może przypuszczać, że piękne sny się rozwieją...

W Poznaniu ogarnia Nowowiejskiego wir pracy. Powstająca Polska otrzymuje z jego hojnej ręki pieśń-hymn, podyktowany chwilą: „Złamane berła, powalone trony" (do słów Wł. Bełzy) i drugi, jako jedną z najpiękniejszych melodii Mistrza: **„Hymn Bałtyku"** („Wolności słońce pieści lazur..." — słowa Stan. Rybki-Mariusa).

Ślązakom potrzeba pieśni bojowej na usta: powstaje „Hymn Powstańców Śląskich". Ale Nowowiejskiemu nie wystarcza samo komponowanie. Bujna, ekspansywna natura wirtuoza i rasowego dyrygenta dąży do wypowiedzenia się bezpośredniego. Organizuje olbrzymie chóry, pokonywując przy tym niezliczone trudności, by wreszcie, któregoś dnia z gardeł tysiąca ludzi posłusznych skinieniu pałeczki wydobyć „Złamane berła..." — monumentalny „Hymn Rzeczypospolitej", zabrzmieć psalmem „Ojczyzna" i fragmentami „Quo vadis".

Działalność organizacyjna w śpiewactwie poznańskim jest równa pracy pionierskiej. Zetknięcie się z jej potrzebami pobudza do coraz szerszej twórczości. Nowowiejski sięga do nowych tekstów, ideologią mu bliskich, tworząc muzykę wpadającą łatwo w pamięć, docierającą wcześnie „pod strzechy". Jeśli gdzie, to właśnie tutaj może być mowa o wielkim „zamówieniu społecznym". Wskazuje ono Nowowiejskiemu drogę ku dziedzinie jakby stworzonej dla muzyka o tak społecznym nastawieniu: świat pieśni ludowej. Wczucie się zupełne w ducha pieśni ludu ziem zachodnich pozwala autorowi „Swatów Polskich", przy użyciu współczesnych środków wyrazu zachować charakter istotnie ludowy. Pojawiają się świetne opracowania pieśni wielkopolskich, śląskich, pomorskich, — naturalnie również i **warmińskich**, o autentycznych melodiach ludowych, i wysoce artystycznym obliczu; dla coraz to szersze kręgi zataczającego ruchu śpiewaczego — nieodzowne i niezastąpione pozycje repertuarowe. Nie sposób też dziś wyobrazić sobie chóru, gdzieby nie istniał kult pieśni Mistrza Nowowiejskiego, zwłaszcza na obczyźnie, za kordonem granicznym.

Szczególnie sumiennie pogrąża się Nowowiejski w owym czasie w studium Kaszubszczyzny. Obok opracowań pieśni ludowych z okolic Kartuz czy Wejherowa pisze pieśń sztandarową: **„Hymn Kaszubski"** do słów autora opowieści „O Panu Czorlińskim", Hieronima Derdowskiego:

„Tam, gdzie Wisła od Krakowa
W polscie morze płynie
Polsko wiara, polsko mowa
Nigde nie zadzinie..."

Pięknej a łatwo uchwytnej melodii zawdzięcza tekst Derdowskiego powszechne przyjęcie się, — ku pożytkowi sprawy.

Ale najwięcej pociąga Nowowiejskiego samo morze. Komponuje wielki — z 34 utworów składający się cykl pieśni o tematyce morskiej, jak sam w jednym z listów pisze: „mających służyć propagandzie naszego morza". Na jego to prośbę poetka poznańska Waleria Szalay-Groele pisze libretto oparte o snujące się między ludem kaszubskim legendy o Winecie, królowej Bałtyku, — zatopionym z zemsty bogów mieście nadmorskim. I po pewnym czasie ukazuje się „opera narodowa w 3 aktach na tle podań kaszubskich, **Legenda Bałtyku"**. Dnia 28 listopada 1929 roku prapremiera w Poznaniu i towarzyszący jej długi szereg szczelnie wypełnionych przedstawień. Polski repertuar operowy zwiększa się o jedną cenną pozycję, stojącą między „Manru" i „Goplaną" z jednej, a „Halką" i „Strasznym Dworem" z drugiej strony. Muzyka polska otrzymuje pierwsze wielkie dzieło o tematyce morskiej.

Jest rzeczą zrozumiałą, że twórczość Nowowiejskiego tematycznie o tak awangardowym zabarwieniu nie może się wiecznie na wysokości tonacji eroicznej utrzymać; im dalej w głąb minionej niepodległości, tym więcej zaczyna się z programowych nadbudówek otrząsać. „Zamówienie społeczne" przestaje działać i autor „Quo vadis" szybkim krokiem zmierza ku **czystej sztuce.** Muzyka europejska od czasu wielkiej wojny poczyniła tak wielkie postępy w technice kompozytorskiej, że trzeba wytężonej pracy, by formą artystycznego wyrazu nie pozostać w tyle. Nowowiejski, z zapałem młodzieńca pracuje nad muzyką fortepianową, kameralną, symfoniczną i przede wszystkim organową. Gigantyczny cykl dziewięciu symfonii organowych, zyskujący prawdziwe uznanie wśród swoich i zagranicą — ukochane dzieło Mistrza, staje się jego muzycznym testamentem. Powszechny podziw budzi ultranowoczesna — u autora „Swatów Polskich" — symfonia „Praca i rytm", jak i głęboki poemat na fortepian i głos — do słów poetki Marii Jasnorzewskiej — p. t. „Róże dla Sapho".

Ale twórca „Legendy Bałtyku" i **„Hymnu Wszechsłowiańskiego"** nie potrafi zbyt długo utrzymać swej sztuki zdala od wiecznie pasjonujących go zagadnień. Nie wiele wprawdzie wiemy o ostatnim, krakowskim okresie twórczym, wiadomo tylko, że Nowowiejski kroczy nadal wytrwale naprzód w rozwoju środków swego artystycznego wyrazu. W tece „post hûme" znajdują się podobno dwie symfonie (jedna z tekstami Staffa i Kasprowicza) i koncert fortepianowy. Do zupełnie ostatnich utworów Nowowiejskiego, którego idee twórcze kojarzą się dziwnie często z prasłowiańskimi wizjami Zofii Stryjeńskiej — należy cykl fortepianowy o zabarwieniu wybitnie impresjonistycznym p. t. „Obrazy Słowiańskie", a wśród nich te dwa: „Korowód na cześć Łady" i **„Świątynia w Arkonie"**, jako ostatnie pozdrowienie ukochanej, nadmorskiej ziemi.

Na „Skałce" wielkopolskiej. w kościele św. Wojciecha w Poznaniu spoczął Feliks Nowowiejski, niestrudzony bojownik sprawy polskiej, zakochany w polskim morzu i całej piastowskiej dzielnicy, jeden z niewielu głosicieli idei wszechsłowiańskiej. Nie bez symbolu i głębokiej wymowy jest fakt, że twórca muzyki do „Roty" spoczął obok autora „Mazurka Dąbrowskiego".

Obaj — rdzenni synowie ziemi pomorskiej.

Janina Deryniżanka

DRZEWO

**Drzewo — ziemi wszechwładnej samotny i milczący więzień —
swe nieruchome i nagie gałęzie
niby ramiona rozwarło na niebie styczniowym
i zasłuchane trwa — rychło wzbiorą w nim soki wiosennej odnowy!
Drzewo na tle błękitnym — znużenie — głębiej wzrok nie sięga.
Schyliłam głowę. Nie mnie dziwne to brzemię w smutnych nosić rękach.**

**Nie mnie na radosne gotować się przyjście,
gdy drzewo z wiosną zielonym pokryje się liściem.
Nie dla mnie drzewa tego lipcowe pioruny i burze,
nie mnie w spiekocie lata cień jego ujrzeć.
Teraz, kiedy mrok zapadł i drzewo stoi samotne śród nocy
odwróciłam od niego niewidzące oczy.**

Aleksy Deruga

DZIESIĘĆ WIEKÓW ZMAGAŃ POLSKI Z NIEMCAMI

W pierwszym okresie ruchu wydawniczego na ziemiach polskich na zachód od Wisły Instytut Zachodni w Poznaniu zdystansował stanowczo gdańsko-toruńsko-bydgoski Instytut Bałtycki. W serii wydawnictw naukowych, jako „prace Instytutu Zachodniego" ukazały się dotychczas:

1. **M. Kiełczewska i A. Grodek.** Odra—Nisa, najlepsza granica Polski.
2. **T. Lehr — Spławiński.** O pochodzeniu i praojczyźnie Słowian.
3. **Z. Wojciechowski.** Polska — Niemcy. Dziesięć wieków zmagania.
4. **Z. Kaczmarczyk.** Kolonizacja niemiecka na wschód od Odry.

Obszerna (267 str. druku) monografia prof. Zygmunta Wojciechowskiego jest 3-cim wydaniem pracy, która ukazała się w druku po raz pierwszy w r. 1933, obecnie zaś w nowej zaktualizowanej przeróbce ma zadość uczynić naglącym potrzebom polskiego społeczeństwa. Jest chyba rzeczą zbędną podkreślać ogromną ważność i aktualność tematu, opracowanego przez prof. Wojciechowskiego z nieposzlitą erudycją i z dużym nakładem rzetelnego naukowego wysiłku. Wystarczy tylko uprzytomnić sobie fakt, że wykład zaczyna się od r. 963, a kończy na drugiej wojnie światowej. Poza swoją wartością naukowa książka ma duże walory popularyzacyjne i propagandowe. Lektura jej wymaga coprawda pewnego przygotowania historycznego, aby się nie zgubić w ogromie wydarzeń, nazwisk i dat. Jednakże autor dołożył starań, aby czytelnikowi wysiłek poznawczy ułatwić i uprzyjemnić. Oprócz polotu literackiego w wykładzie większej części rozprawy należy zwrócić uwagę na same tytuły rozdziałów, które ujęte są jędrnie, dobitnie, frapująco. Przytoczmy dla przykładu kilka: „Walka z Niemcami o Bałtyk i środkową Europę (1385—1466)"; „Śląsk i Pomorze Zachodnie w czasie wojny trzydziestoletniej nie rewindykowane (1618—1648)"; „Między Francją a Habsburgami: Prusy Książęce czy południowy wschód? (1657—1696)". Albo np. tuż po zakończeniu opowiadania o 3-cim rozbiorze Polski idzie rozdział p. t. „Prusy ocalone z pogromu (1795—1815)".

Do popularyzacyjnego charakteru wykładu przyczynia się niejednokrotnie podejmowana na ogół udatna aktualizacja tematów. Jeśli chodzi o poprzednią generację historyków polskich, to stwierdzić wypada, że omawiając dzieje zmagań Polski z Niemcami, zwłaszcza za panowania pierwotnych Piastów, ulegali oni niejednokrotnie sugestiom źródeł, których autorami byli Niemcy. Dlatego też słusznie zauważa prof. W., że „pisać historię X wieku na podstawie źródeł niemieckiego pochodzenia, to coś podobnego do dziejów „Generalnej Guberni" opartych na podstawie okupacyjnego **Nowego Kuriera Warszawskiego"** (S. 22). Czytając opis legendarnej z powodu bohaterstwa załogi obrony Głogowa za czasów Krzywoustego, przerzuca się czytelnik swą wyobraźnią do roku 1944, kiedy Niemcy, ci sami wieczyście okrutni i podli, pędzili przed czołgami cywilną ludność Warszawy.

Na podstawie danych źródłowych i badań naukowych prof. W. wskazuje (idąc tu za poglądami prof. K. Tymienieckiego), że i przed rozpoczęciem w XIII w. na większą skalę kolonizacji niemieckiej istniały miasta słowiańsko-polskie, że na zasadach t. zw. prawa niemieckiego (magdeburskiego) przeprowadzano kolonizację, posługując się niejednokrotnie osadnikami polskimi. „Od Magdeburga nie zaczyna się przecież życie miejskie w Europie, tak samo jak Niemcy nie są źródłem sztuki gotyckiej, a zdarza się przecież, że zasiąg gotyku na wschodzie Europy określa się jako zasięg kultury niemieckiej"; (s. 66). Istotnie! Iluż to historyków niemieckich udowadniało niemieckość Krakowa i Gdańska, wskazując przy tym na kościoły i inne zabytki architektury, nie będące zgoła tworem mistrzów niemieckich, tylko flamandzkich i włoskich!

Do aktualności ujęcia tematu przyczynia się w znacznym stopniu umiejętne zwracanie uwagi czytelnika na kardynalne zagadnienia geopolityczne, dotyczące obecnych ziem odzyskanych: Pomorza zachodniego czyli szczecińskiego, Śląska i Prus Wschodnich. Widzimy np., że opanowanie ujścia Odry było głównym celem polityki Mieszka I, że Kazimierz Wielki w pełni doceniła znaczenie dla Polski Pomorza szczecińskiego i stara się, aby Wielkopolska miała z nim łączność terytorialną. Uwydatnione są też należycie związki dynastyczne i lenne pomorsko-szczecińskich Bogusławów z Jagiellonami i ich następcami, aż do Władysława IV. Podkreślony jest fakt, że sam Szczecin trafia do rąk pruskich dopiero w r. 1720.

Jak wiadomo na podstawie pokoju toruńskiego w r. 1466 Polska odzyskała Pomorze gdańskie i ziemię chełmińską, a poza tym zdobyła Malborg, Elbląg i Warmię. Kilkanaście lat później Kazimierz Jagiellończyk oświadczył, że „nie mniej u Kazimierza znaczą Prusy, jak krakowska ziemia" (s. 91). W roku zaś 1519 poseł króla Zygmunta I w Malborgu zakomunikował Krzyżakom: „Król wolałby utracić część Litwy, a nawet całą Litwę, aniżeli oddać Gdańsk Zakonowi" (s. 101).

Sprawę słynnego hołdu pruskiego z roku 1525 omawia autor na obszernym tle międzynarodowym, zwłaszcza stosunków polsko - habsburskich i francusko - habsburskich. „Od zarania protestantyzmu w Niemczech Francja i Polska weszły na linię stałego popierania księstw protestanckich, jako przeciwwagi do imperialistycznych uroszczeń Habsburgów" (s. 103). Z tego punktu widzenia dalsze perypetie problemu rewindykacji Prus Wschodnich, wcielenia ich do Polski są konsekwentnie rozpatrywane na linii „Francja—Polska—Brandenburgia". Takie postawienie sprawy prowadzi czasami do zbyt daleko idących uproszczeń. Trudno jest np. zgodzić się z poglądem, że „nieszczęsny traktat welawsko-bydgoski w r. 1657, znoszący zwierzchnictwo lenne Polski nad Prusami Wschodnimi, „w dużym stopniu zawarty został w chęci uzyskania poparcia Francji dla zamiany tronu polskiego na dziedziczny" (s. 103; podobnie na s. 141). Polska poprostu wyczerpana podówczas morderczymi wojnami nie mogła pozwolić sobie na przewlekłą wojnę z elektorem, nie mając zawartych traktatów pokojowych z pół tuzinem państw sąsiednich, uczestniczących w „potopie" najeźdźców ze wszystkich stron.

Bardzo dobrze natomiast jest ujęta tragiczna analogia losów narodu polskiego i czeskiego, kiedy na Polaków spada klęska pod Cecorą w r. 1620, a w tymże samym roku Czesi walczący o swój byt narodowy z Niemcami doznali klęski w bitwie pod Białą Górą, co było — jak wiadomo — początkiem końca niepodległości Czech. Istotnie, klęska czeskiego ruchu narodowego w walce z Niemcami, zaważyć miała na całym europejskim układzie sił, podobnie jak zabór Czech przez Hitlera w roku 1939" (s. 125). Jednym ze skutków klęski cecorskiej (wynikłej jako odwet Turcji za prohabsburską politykę Zygmunta III) było to, że od r. 1621 rządy w Prusach i w Brandenburgii znajdują się i formalnie i faktycznie w jednym ręku tegoż samego berlińskiego Hohenzollerna.

Cóż z tego, że jeszcze t. zw. „wielki elektor" książę Fryderyk Wilhelm złożył w r. 1641 osobiście **na klęczkach** w Warszawie hołd (ostatni hołd pruski) królowi Władysławowi IV. Niemcy, kiedy potrzeba umieją padać na kolana, aby potem występować z tym większą pychą i bezwzględnością. Odznaczają się też ogromną wytrwałością i cierpliwością w dążeniu do zakreślonych sobie celów. Tak np. o opanowanie Pomorza nadodrzańskiego starały się Prusy brandenburskie całe półtora wieku (1493—1648) stosując głównie środki dyplomatyczne. W drugiej połowie XVII w. zdobywają orężem Szczecin, skutkiem interwencji Francji tracą go znowu i ostatecznie umacniają się u ujścia Odry dopiero w r. 1720.

Prof. Wojciechowski nie podkreślił zupełnie faktu, że za panowania Władysława IV Państwo Polskie po raz ostatni w dziejach Rzeczypospolitej szlacheckiej posunęło się na Zachód. Mianowicie w roku 1637 w związku ze śmiercią Bogusława XIV, ostatniego władcy z dynastii książąt pomorsko-szczecińskich, zostały włączone do Korony dwa powiaty lęborski i bytowski (Lębork i Bytowo). Jedyny to fakt w dziejach nowożytnych, że na przeciąg lat 20 (1637—1657) **zostało rozszerzone terytorium Pomorza i dostęp Polski do morza.** Utarło się w całej polskiej literaturze wspominać o takich **mizernych** zdobyczach terytorialnych tylko mimochodem, w paru wierszach. Mówi się: „Jakież to małe w porównaniu z tym, co posiadała Polska na Zadnieprzu, albo w porównaniu z wytrwałym dążeniem do opanowania Estonii". W takich to słowach można scharakteryzować ogólną tendencję historiografii i polityki polskiej w odniesieniu do tamtoczesnych spraw. Albo np. czy warto rozwodzić się szerzej nad drobnym wydarzeniem, że w r. 1647 wojsko polskie wkroczyło na Śląsk i obsadziło wzięte przez Władysława IV w zastaw księstwa opolskie i raciborskie (do r. 1666). Chyba, że nie warto!

Dobrze się stało, że wśród postępowych poglądów historiozoficznych prof. Wojciechowskiego znalazło się również stwierdzenie (zresztą nie nowe), że Polska w XVII wieku przeżywa swe drugie średniowiecze i wyżywa się w wojnach z Turkami i Tatarami tak, jak gdyby były to prawdziwe wyprawy krzyżowe, w których ongiś państwo Piastów i Jagiellonów nie uczestniczyło. Jednakże ogólnie biorąc prof. W. w stopniu niedostatecznym podkreśla w swej pracy ujemne skutki polityki polskiej, podyktowanej względami gorliwości religijnej. Tylko mimochodem rzuca on uwagę (s. 104), z której wynika, że papieże przyczynili się bardzo do utrudnienia radykalnego i szybkiego rozwiązania przez Polskę kwestii wschodnio-pruskiej, nie uznając pokoju toruńskiego i traktując stale Prusy jako terytorium podległe Stolicy Apostolskiej. Brak jest należytego podkreślenia, że Zy-

gmunt III był zwolennikiem popierania Habsburgów z pobudek natury **nie tylko dynastycznej**, ale również dlatego, że w ten sposób spodziewał się dobrze zasłużyć w zakresie rozkrzewienia wiary katolickiej na północy (luterscy Szwedzi) i na wschodzie („schizmatyccy" mieszkańcy państwa moskiewskiego i Ukrainy).

W pracy poświęconej stosunkom polsko-niemieckim należało kilkakrotnie mocno uwydatnić, że ilekroć Polska, czy to za Zygmunta Augusta, czy też za Zygmunta III, była uwikłana w ciężką wojnę z W. Ks. Moskiewskim, tylekroć politycy polscy (nie wyłączając Stefana Batorego, który tyle przenikliwości okazał w stosunku do Gdańska), uważali Królewiec za mniej potrzebny Polsce niż Połock, Smoleńsk i Czernihów. Kierunek antymoskiewski stawał się równocześnie nieuchronnie kierunkiem proniemieckim.

Polska XVII wieku nie posiadała ani jednego męża stanu tej miary, co kardynał Richelieu, który potrafił interes państwowy Francji stawiać wyżej od interesów Watykanu. Ale co tu mówić o Radziwiłłach, Wiśniowieckich, Pacach czy Sapiehach. Trudno też spodziewać się całkiem obiektywnego osądu zgubności południowo-wschodniego kierunku u prof. Wojciechowskiego, który mówi **„o wielkim buncie** kozackim" Bohdana Chmielnickiego, zamiast powiedzieć **o powstaniu narodu ukraińskiego** (a taki naród istniał już w XVII w., choć historycy polscy lubią solidaryzować się w zakresie poglądów z ks. Jeremim Wiśniowieckim!). Nie dziwota więc, że w profesorskim wykładzie nie znajdziemy żadnych cennych wiadomości na temat tego co spowodował „trwały upór przywódcy buntu, Bohdana Chmielnickiego, wobec Polski" (s. 138). Dla ekspansji szlachty polskiej wystarczały ogromne czarnoziemne obszary Wołynia i Ukrainy. Rzadko zaludnione Pojezierze Mazurskie, piaski, lasy, jeziora i zniemczone miasta Prus Wschodnich nie nęciły nikogo z pośród naszych magnatów, wywierających wpływ przemożny na politykę zagraniczną królów, krępowanych stale opinią rady senatu i uchwałami sejmów.

Dużym walorem naukowo-popularyzatorskim pracy prof. W. jest umiejętne rozwinięcie przy pomocy 16 mapek ciekawych poglądów geopolitycznych, stanowiących ulubioną myśl przewodnią autora. Tak więc widzimy poglądowo (na mapie po str. 134), że w XVI w. ziemie Korony uzyskały istotnie dziwaczne oblicze geograficzne. Wielkopolska położona w dorzeczu Odry bez Pomorza zachodniego była tworem kadłubowym. Na zachód od Wisły i na północ od Mazowsza rozsiadło się Księstwo Pruskie. Ekspansja Polski na północny-wschód od Mazowsza miała kształt konkretny jak długo — wespół z Litwą — była w posiadaniu ujść Dźwiny (1561—1621). Z chwilą ostatecznego wyrzeczenia się dążenia do opanowania ujść Odry, Niemna i Dźwiny i z chwilą zachwiania się zagrożonej pozycji nad dolną Wisłą (elektor brandenburski dążył uporczywie do zagarnięcia Elbląga), „ poobcinana i przytłoczona Polska wybrzuszyła się teraz ogromnie w kierunku południowo-wschodnim" (str. 136).

Syntezą poglądów na ekspansję niemiecką znajdujemy w podrozdziałku: **„Prusy najgroźniejszym z trzech rozbiorców"**. Pozwolimy sobie na obszerniejszy cytat: „Udział Prus w trzech rozbiorach Polski pozwala na zrozumienie istoty zagadnienia polsko-pruskiego. Gdy uprzytomnimy sobie rozrost Prus od r. 1648, a więc kolejno, zabory Pomorza zachodniego (1648 i 1720), Śląska (1740), Pomorza wschodniego (1772), Wielkopolski (1793) i Mazowsza (1795), zdamy sobie sprawę, że po trzecim rozbiorze z rzędu pięciu ziem tworzących ongi rdzeń narodowy Polski (Pomorze, Śląsk, Wielkopolska, Mazowsze, Małopolska) znalazły się w rękach Prus cztery z nich, piąta, Małopolska, była w posiadaniu innego państwa niemieckiego, tym samym zaś cały obszar Polski piastowskiej był w rękach państw niemieckich" (s. 184). Dzięki tym poglądowym mapkom, jakie zawiera książka, rozwój terytorialny Prus utrwala się plastycznie w pamięci czytelnika.

W książkach tego typu, co recenzowane dzieło prof. W., nigdy nie może być za dużo syntezy poglądów na zagmatwane problemy naszej przeszłości. Jednym z najdonioślejszych zagadnień byłoby wyświetlenie, dlaczego w ciągu dwóch wieków XVI i XVII nie zdobyto się w Polsce na radykalne rozwiązanie problemu Prus Wschodnich, panowania na Bałtyku i w ogóle wydobycia prastarych ziem piastowskich spod panowania niemieckiego. Książka prof. Wojciechowskiego nie daje dostatecznej odpowiedzi na pytania. Spróbujmy więc tutaj wysunąć kilka tez, które znajdują swe uzasadnienie w znanych nam źródłach historycznych:

1) Geneza i rozwój potęgi Zakonu Krzyżackiego jest głównie dziełem Rzymu, który starał się nie dopuścić do zniszczenia państwa „kwestującego mnicha i pládrującego knechta" (tak nazywa Krzyżaków Szajnocha). Po przyjęciu przez Hohenzollernów luteranizmu pupilami Stolicy Apostolskiej stali się Habsburgowie. Myślą przewodnią działalności wszystkich nuncjuszów papieskich w Polsce XVI—XVII w. w. było popieranie interesów Habsburgów i wytrwałe dążenie, aby na tronie polskim zasiadł Niemiec.

2) Starcia orężne z Niemcami w XVI i XVII w. w. należą do wypadków odosobnionych, które równać się nie mogły ani rozmiarami ani rozgłosem w kraju z wielkimi zwycięstwami pod Kircholmem, Kłuszynem, Chocimem i Beresteczkiem. Możemy owszem wymienić kilka bitew, ale **nie powiązanych ze sobą jakąś świadomą ideą walki Narodu Polskiego z żywiołem niemieckim.**

15. IV. 1577 r. bitwa z wojskiem niemieckim wynajętym przez Gdańsk u jeziora Lubieszowskiego pod Tczewem.

Listopad 1587 r. Pogrom wojsk austriackich pod Krakowem. 24. I. 1588 bitwa pod Byczyną.

8. X. 1656 r. zwycięstwo Gosiewskiego pod Prostkami na Mazurach. Po trzechdniowej bitwie (28.—30. VII. 1656 r.) armii szwedzko-pruskiej (większość tej armii stanowili żołnierze narodowości niemieckiej) Karol Gustaw i Fryderyk Wilhelm — obaj Niemcy — odebrali Janowi Kazimierzowi Warszawę. Oto są bitwy, których rocznicy chyba nikt nie obchodził!

3) Należy podkreślić, że w XVII w. wojska niemieckie (austriackie) znalazły się dwukrotnie na terytorium Polski w charakterze **wojsk sojuszniczych.** Wielkie zwycięstwo nad Szwedami pod Trzcianą (27. VI. 1629) i uratowanie Pomorza zawdzięczała Polska posiłkom austriackim, słynny bowiem Wallenstein przysłał wtedy na pelecenie cesarza 7.000 żołnierzy pod wodzą hr. Arnima. W roku zaś 1657 siedemnastotysięczny korpus austriacki pod wodzą feldmarszałka Hartzfelda pomaga Polakom wyprzeć Szwedów z Krakowa i Pomorza.

4) Należałoby uwydatnić również rolę, jaką odegrał **kupiec niemiecki** w dziejach opanowania połowy wybrzeży Bałtyku przez żywioł niemiecki. Szlachta polska przyzwyczaiła się stykać stale w kraju z Niemcami przede wszystkim w ich kształcie mieszczańskim: kupców i rzemieślników, którzy nota bene w miastach polskich ulegali szybko polonizacji.

Ogólnie biorąc książka prof. W. zasługuje na gorącą rekomendację dla szerokich rzesz czytelników, zwłaszcza zaś dla pionierów polskości na ziemiach odzyskanych, stanowiących, jak wiadomo, trzecią część terytorium obecnej Rzeczypospolitej. Do ożywienia toku wykładu przyczyniają się też w znacznym stopniu nader szczęśliwie dobrane i ciekawe cytaty z pism Staszyca, Kołłątaja, Mickiewicza, Fryderyka II, Bismarcka itd.

W epilogu „Pana Tadeusza" znalazła swój wyraz genialna przenikliwość wielkiego wieszcza:

> „Kiedyś...
> Gdy orły nasze lotem błyskawicy
> Spadną u dawnej Chrobrego granicy".

Tak! Stał się fakt, który wytycza kierunkową rozwoju Polski na wiele wieków. Polska na progu swej trzeciej niepodległości otrzymała dawne Chrobrego granice. Polska musi być i będzie państwem morskim, państwem środkowo - europejskim, państwem przemysłowo-handlowym. Przenigdy nie pójdzie już Niemiec na Wschód!



BRONISŁAW JAMONTT

STARE DOMY

Marian Turwid

TRYPTYK

Pamięci pomordowanych braci.

W CISZY PRZED BURZĄ

1939

Słyszysz! — zmilkły zegary na wieży!
Wiatry oddech wstrzymały szeroki —
Słyszysz! — idzie niesłyszalnym krokiem,
by — milczeniem okrywszy — uderzyć.

Spadła na nas miękką mgłą wieczorną,
gdy czas znojem dni pożniwnych dyszał —
Któż ją — ciszę dzwoniącą usłyszał
i kto wieścią jej spłonął potworną!

Zastąpiła drogę spracowanym —
ludzie z pól szli strudzeni do syta,
więc ją każdy w chętne dłonie chwytał,
niby chłodem napełnione dzbany.

Któż się — pragnąc — o kształt dzbana
i dopiero kto nie zgasił suszy [trudzi —
ciężar poczuł przeraźliwej głuszy
i bladł jakby pił z zatrutych studzień.

I urzeczon Czarnej Grozy wzrokiem
spraw powszednich milkł kołowrót szumny,
by w niepokój zebrawszy się tłumny
na śmiertelne odczekać wyroki.

Nikt się do snu nie kładł o tej porze,
krążąc myśli ptactwem niespokojnym:
Od najazdu, bomb, ognia i wojny
racz zachować nasz dom Święty Boże!

Bóg jest z ciszą, Bóg jest z błyskawicą.
Nim grzmot czarną wybije godzinę
odpuść bracie wszystką bratu winę,
byś mógł serca zapłonąć gromnicą.

Byś mógł wesprzeć o ramiona ramię
i w braterski łańcuch zapleść dłonie.
Niechaj przyjdzie! Niech gromami spłonie!
Serc zapory żadna z burz nie złamie.

Choćby wicher zerwał dach z nad głowy,
pożar strawił dobytek do gruntu —
nawałnica nie zaleje buntu
serc na wszystkie wyroki gotowych.

Pochwalona bądź ciszo przed ciosem —
Pochwalone bądź Milczenie przed Burzą,
jeśli z głębin się Twoich wynurzą
niedojrzane, niesłyszane głosy.

Ciszo, która dzielisz błysk od gromu,
gdy nie jesteś strasznym krzykiem trwogi,
tylko szeptem jednania się z Bogiem —
witaj w progach płonącego domu.

PIEŚŃ O SERCU NIEZŁOMNYM

1943

Gdy Ją w naszych mordowano oczach,
katowano, skrwawiono, rozdarto —
gdy ból światło ćmił w źrenic przeźroczach
i myśl mącił nad trumną otwartą —
gdy obrońcom wydarto broń z ręki
i pojmanych stawiono na świadki,
by potwierdzić musieli zgon Matki —
gdy się wściekło całe piekło męki
serce — jedno stanęło na warcie
aby śmierci zaprzeczyć uparcie.

— — — — — — — —

Więc je — zbrodnią pijani i wściekli
na plac straceń zwycięzcy wywlekli
i rzucili pod pręgierz oskarżeń,
w bagno oszczerstw, w kłamstw rynsztok,
[w mróz, drwiny:
niech w obliczu Ostatniej Godziny
polskie serce wyleczy się z marzeń.
Polskie serce — grudka wosku miękka,
płomyk chwiejny — lada wiatr go zgasi,
byle twarda ujęła je ręka
a u nóg się pocznie pańskich łasić.
A pod butów podkutych ciężarem
w proch się zetrą niebieskie migdały
polskich rojeń: O złotej swobodzie,
pod gwiazdami braterskiej ofiary,
o dniach w słońcu czerwonych i białych
i o wolnych narodów narodzie...

— — — — — — — —

Sny są marą — wiarę zostaw Bogu.
Dość na jawie kaźni i tortury —
Na więziennym płowiejąc barłogu
serce resztek się zbędzie purpury.
Tylko strachu zeń strzępy zostaną
i przedśmiertny, zwierzęcy dreszcz grozy,
gdy pod straceń postawią je ścianą,
gdy szubienic się sprężą powrozy.
A gdy razy tysiączne obwieści
krwawy sędzia nowy wyrok śmierci
rozpacz serce rozsadzi na ćwierci,
któreż serce tyle bólu zmieści!

— — — — — — — —

Rzućcie topór szaleni mordercy!
Pocóż katów nadaremnie trudzić!
Pocóż zbrodni zwycięstwem się łudzić,
gdy męczeńskie — głośniej bije serce.
Gdy pod chamskim waszych pięści młotem,
na kowadłach potwornej udręki
wykuwacie serca szczerozłote
spiżem mocy dzwoniące — miast jękiem.
Skąd wam wiedzieć pachoły obłudy,
podłe knechty piekielnych wasali,
że ból — liche tylko kruszy rudy
lecz szlachetnym wypala hart stali.
Opar pychy i czad nienawiści
zatruł mózgi wam i wzrok zamroczył:
Nie ujrzycie cudu co się ziści,
gdy się Próby godzina przetoczy.

— — — — — — — —

Nim się jutra nisko skłoni czoło
przed męczeństwa polskiego sztandarem,
dzwony naszym wydarte kościołom
w piersiach naszych biją w akord wiary:
Nie zginęła! gdy krwią żywą broczy,
co dnia nowej patrząc śmierci w oczy.
Co dnia rosnąc — świadczy armia Niemych:
Nie zginęła — póki my giniemy!

MALOWANA SNAMI

1945

Malowali ją tylko snami...
Dniom ich zabrakło na paletach farb — —
dniom-cieniom zatraconym w śmiertelnych
[zawiejach
i tylko ten — na jawie — pozostał im skarb,
ukrywany rozpacznie za serca kratami:
n a d z i e j a.

Tym kolorom co dnia, wciąż od nowa, od
[nowa:
jakieś wierzby znad Gopła, jakieś wieże
[Krakowa —
na tłach złotych jak naiwny patos
uwiedzionych niebem mistrzów z Athos
malowali — w akordach aż do żaru napiętych,
choć bez głębi, bez planów, bez cieni
ale zawsze — w aureoli świętych:
Jej portret.

To nieprawda, że cisza zieleni
jest nadziei płomiennych sztandarem — —
zapytajcie — którzy w lochach latami
oglądali Jej twarz tylko snami — —
zapytajcie — wygnanych tułaczy,
przez oddaleń zamglonych obszary,
która z gwiazd ich wywiodła z rozpaczy!
i spytajcie blednących skazańców
jakie barwy ma życie u krańców!
Odpowiedzą wam w zgodnej kolei:
nie w zieleni chorągwie nadziei,
ale w barwach dwu, gdy ich nie dzielić:
w czerwieni i bieli!

— — — — — — — —

Więc purpurą i bielą bez skazy
na tłach złotych takie śnili obrazy
blasku pełne,
w niebo marzeń wzięte,
aż Ją wznieśli między wielkie święte —
aż za cenę męczeńskich utrudzeń
kształt przybrała największego z złudzeń.

— — — — — — — —

A gdy wzeszły dni i sny przybladły
nienawykłe oczy — nie odgadły,
nie dojrzały, nie mogły uwierzyć,
rozglądając się wokół ciekawie,
komu szaty wyśnione przymierzyć!
komu w kornych się chylić pokłonach!
Nie dostrzegli, że stoi na jawie
O d r o d z o n a ...

Taksując Ją z trwogą,
ani poznać, ani uznać nie mogą:
ni w purpurze, ni w złotej koronie —
w kitlu w pasy, w poszarpanych łachach,
ze zgoloną po więźniarsku głową,
z Oświęcimia wróciła i z Dachau,
z tyłu więzień, obozów, wygnania...
jeszcze cała na nogach się słania,
cała w ranach, zgłodniała, bezdomna —
i w tej nędzy męczeńskiej — o g r o m n a!

Ani z soli, ani z roli, tylko bólem
ponad trony wyrosła i królę.

Patrz: choć stoi pośród nas na jawie
w ostrym świetle dnia, nie w złud mgławi-
[cach —
wszystkiej dziennej przychylona sprawie,
zwykła, prosta Matka-robotnica, —
choć w godzinie każdej żyje z nami,
widzisz: — wciąż jest malowana snami.

POMORZE POD OKUPACJĄ

Jan Piechocki

ICH OSTATNIE DNI

Było to w końcu grudnia 1944 roku. W wieczór ciemny i dżdżysty czekałem wraz z dużą grupą współkolegów-robociarzy na autobus. Błotnista ulica była zatarasowana wozami uchodźców z Prus Wschodnich i Suwalszczyzny. Rżenie zmęczonych koni, porykiwanie wynędzniałego bydełka, płacz i kwilenie dzieci mieszało się z turkotem wozów i wózków oraz przekleństwami członków tej karawany, która — jak tyle innych — w tym czasie ciągnęła przez Bydgoszcz w niewiadomym kierunku. I myśmy klęli (acz z cicha), bo wozy uciekinierów blokowały ulicę i opóźniały podjazd autobusu. Po 11-godzinnym dniu pracy w fabryce każdemu z nas spieszyło się do domu, choćby nim była taka „polska" nora, w jakiej ja wówczas się gnieździłem. Dreptając w ciemnościach i potykając się co chwila o kogoś sposród czekających wraz ze mną na autobus, zauważyłem, jak pewien mężczyzna szuka czegoś skwapliwie po ziemi w świetle „przepisowo" przyćmionej latarki elektrycznej. Mimowoli schyliłem się i natrafiłem przypadkowo na przedmiot jego poszukiwań — rękawiczkę. Z okazji szczęśliwego znalezienia zguby nawiązała się między mną a owym mężczyzną — starszym Niemcem — krótko rozmowa. Zachęcony faktem, że ów Niemiec zaraz na wstępie zaczął niespodziewanie wygłaszać krytykę „możnych" i „wielkich", odpowiedzialnych swoją polityką za nieszczęścia maluczkich jako, oto, ci uciekinierzy, zaryzykowałem twierdzenie: „Panie, co to dopiero będzie, gdy front przesunie się o 100 kilometrów na zachód!" Na to ów Niemiec, wypowiadający jeszcze przed chwilą krytyczne i jak na Niemca wcale śmiałe sądy, zapałał „świętym" uniesieniem. — „To się nigdy, przenigdy nie stanie, odrzekł. Zupełnie wykluczam możliwość, aby nasz front mógł być cofnięty. Zapewniam pana, ja, stary Niemiec". Jego dalszą perorę przecięło nagłe pojawienie się autobusu i szturm o wolne miejsce.

Oto maleńki, lecz bardzo charakterystyczny obrazek. Jeżeli taką murowaną pewność wygłaszał starszy, skądinąd krytycznie nastawiony człowiek na kilka tygodni przed wkroczeniem Armii Czerwonej do Bydgoszczy, cóż dopiero za butne poglądy na niezłomność siły niemieckiej i wieczystość niemieckiego panowania na Pomorzu musiały wypełniać tępe mózgownice hitlerowców po zwycięstwie nad Francją, po pierwszych sukcesach w Rosji, przed Stalingradem, przed kapitulacją Włoch! Możliwe zresztą, że pewność siebie, demonstracyjna wiara w żywy mur żołnierzy niemieckich była tylko autosugestią, środkiem przytłumienia jakiejś tającej się na dnie duszy wątpliwości. Tak to pojmowało wraz ze mną wielu Polaków, i nasze przekonanie o zmierzchu hitlerowskiego imperium utwierdzało się właśnie w miarę pojawiania się coraz „mocniejszych" sloganów propagandowych, poczynając od plakatowanego cytatu z Lutra („Musi nam się powieść, nawet gdyby świat był pełen diabłów") aż do zadzierżystych enucjacyj różnych gau i kreisleiterów.

Wszystko, co miało serce polskie pragnęło doczekać się godziny wielkiego przełomu, oglądać — niczym Irydion upadek Romy — hańbę i klęskę Niemców. Im więcej malały szanse zwycięstwa hitlerowskiego, tym silniej zajmowała wyobraźnię dręczonych, poniewieranych i prześladowanych Polaków myśl, jak będzie wyglądała rejterada odwiecznego wroga z Bydgoszczy. Nieraz spotykałem się z prostymi ludźmi, którzy schorowani i wycieńczeni, wyznawali mi, że jedno ich trzyma — chęć ujrzenia bestii powalonej, tudzież życzenie powitać wojsko polskie w murach miasta. To, co było marzeniem jeszcze w r. 1940, to, co się wydawało sprawą odległą jeszcze w roku 1942, zaczęło przybliżać się coraz widoczniej w roku 1943, nabierać cech najpiękniejszego snu który niebawem stanie się jawą.

Pewne drobne symptomy wskazywały wczesną jesienią 1944 r. że coś się psuje u Niemiaszków. Naturalnie odbywały się w dalszym ciągu aresztowania i zsyłki do „kacetów", lecz uwagę moją i kilku znajomych zwrócił fakt, iż „gestapo" ładuje całe wozy akt do wielkiej barki, przycumowanej na przystani niedaleko poczty. Czyżby już teraz chcieli usunąć ślady swych zbrodni? Wraz z tylu innymi rodakami musiałem w tym okresie jeździć co niedzielę na kopanie rowów. O dziwo! Polacy otrzymywali w trakcie tych robót przymusowych ten sam posiłek (całkiem możliwa zupa z mięsem) co Niemcy i tak samo po 2 papierosy na głowę „w nagrodę". Nie troskano się już zbytnio, po jakiemu zatrudnieni „na okopach" Polacy mówią między sobą. Nie mogli przecież już teraz nas masowo aresztować, bo ktoby kopał rowy, niezawodny środek dla poratowania Vaterlandu. Na gwiazdkę — ostatnią gwiazdkę pod okupacją — otrzymali także polscy pracownicy naszej fabryki (co za wielkoduszność!) po raz pierwszy gratyfikację i tandetne upominki, porówno z Włochami i „Ostarbeiterami". Drobne, ale znamienne drgania niemieckiego sejsmografu. Bestia zabijała dalej, lecz próbowała nieudolnie głaskać.

Krótko, bo zaledwie kilka dni, trwała uciecha hitlerowców a troska Polaków w związku z ofensywą w Ardenach. Ofensywa niemiecka na zachodzie szybko utknęła, natomiast wkrótce zaczęliśmy się upajać postępami dawno oczekiwanej ofensywy sowieckiej. Zaczęły się zakłady o terminie końca szwabskiego panowania w Bydgoszczy. Wypadki potoczyły się błyskawicznie. We czwartek, dnia 18 stycznia można już było zauważyć jak tu i ówdzie ładują paki i bagaż. Ewakuacja Torunia. uciekinierzy... coraz dłuższe kolumny uciekinierów. W sobotę niektórzy robotnicy zabierają ze swych szaf mydło, miseczki i kombinezony do domu, przekonani instynktownie, że nie wrócą do fabryki. Widzimy dryblasów z „Arbeitsdienstu" przy torach kolejowych, gotowych do minowania. Rozpoczyna się walka Niemców o miejsca w pociągu. Ładnie wyszykował ich kreisleiter Rampf. Póki był czas na uporządkowaną ewakuację, piorunował od „zdrajców" pod adresem tych, co chcieli wyjeżdżać. Gdy zrobiło się kilka dni później gorąco, sam czmychnął chyłkiem, jak tylu innych hitlerowskich dygnitarzy, pozostawiając swych „volksgenossów" w sytuacji zwierzyny w potrzasku.

Jakie miny mieli teraz ci wszyscy dumnie-wyniośli grabieżcy, gdy im przyszło opuszczać miasto, uważane w długoletniej fazie nacjonalistycznego obłędu za praniemieckie, w popłochu, z tobołkami i węzełkami! Gdy trzeba było pozostawić na miejscu meble, skonfiskowane Polakom, rzucić zagospodarowane domy, poniechać kolekcji pamiątek rodzinnych, albumów, obrazów patriotycznych, pierzyn, kilimów z wyhaftowanymi przez babki „spruchami"... Szczęśliwi ci z pośród nas, co się doczekali działania sprawiedliwości dziejowej choćby w tym aspekcie, przez najuboższego duchem dostrzegalnym.

W niedzielę, dnia 21 stycznia nasz dom był już wolny od ostatniego Niemca. W obliczu opuszczenia nas przez zgraję donosicieli i szpiclów doznałeś uczucia chorego, który jakimś cudem pozbył się nowotworu, pasożytującego na jego organiźmie. Jako ostatnia zniknęła nam z oczu żona esesmana, zwykła kuchta, której z uwagi na rozpieranie się w 4-pokojowym mieszkaniu mocno się było przewróciło w niebardzo mądrej głowie. Cztery razy wlokła się z dzieckiem, z bagażem na dworzec, nim ją wreszcie — jak przypuszczam — zabrali. Przed każdorazową wędrówką na stację płakała i wynurzała się przed Polakami, tymi kilkadziesiąt godzin przedtem ledwo dostrzegalnymi istotami „niższej rasy", widocznie, by zaskarbić sobie ewentualne względy na wszelki przypadek. Paniusia podkreślała nawet często gęsto, że... umie po polsku, że zostałaby na miejscu, gdyby ci Rosjanie nie byli tak „źli ludzie".

Exodus cywilów i urzędów odbył się wespół z przemarszem cofających się dywizyj niemieckich. Idąc często o kiju, zziębnięci i rozdygotani, przypominali żołnierze estniskiej dywizji, przeciągającej pod moimi oknami, armię napoleońską w jej odwrocie z Rosji. Coraz bliżej słychać było huk armat. W poniedziałek nikt już nie poszedł do fabryki. Na ulicy mówiono głośno po polsku... Słychać już było terkot cekaemów i palbę karabinów. Na dziedzińcach urzędów i biur niemieckich płonęły stosy akt, papierów i papierków. Pomyśleć tylko: na to je tak systematycznie, tak skrzętnie i troskliwie magazynowali, segregowali, kultywowali, aby teraz samemu urządzić wspaniałe autodafe. Ironia rzeczy ludzkich... We wtorek, dnia 23-go, nad wieczorem, po całodziennej kanonadzie, zadudniły tanki na bydgoskim bruku. Sowieckie tanki. Nareszcie jesteśmy wolni! Niemieckie panowanie skończyło się na zawsze.



ST. ŁUCZAK DRZEWORYT ORYG.

KRONIKA

ŻYCIE ARTYSTYCZNE STOLICY POMORZA

Literatura

Dwie ostatnie środy literackie w Bydgoszczy nawiązywały szczęśliwie — chociaż w nieco spóźnionym terminie — do obchodzonej niedawno przez świat literacki rocznicy mickiewiczowskiej. Odczyty te, dzięki swemu specyficznemu charakterowi, tak różnemu od utartego schematu akademii jubileuszowej lub nawet od najbardziej pomysłowo zmontowanego wieczoru-kalejdoskopu, mającego ukazać słuchaczom w skrócie całokształt twórczości Mickiewicza, nawiązały wprawdzie do najistotniejszych momentów jego działalności pisarskiej, ukazały ją jednak na tle tak obszernym i z taką wszechstronnością i wnikliwością, że i dzieło i twórca nabrały w treści tych prelekcyj nowych horyzontów.

Trudno wprawdzie przeprowadzić jakąkolwiek, poza wyżej wymienioną, analogię między tematem obydwu odczytów, tak założenia jak i metody obydwu prelegentów były bowiem diametralnie różne. Prof. Konrad Górski w wykładzie swym na temat prometeistycznych tendnecyj w III części „Dziadów" punktem wyjścia swych wywodów uczynił samo dzieło i abstrahując od wszelkich wiadomości biograficznych, poprzestał na ścisłej krytycznej analizie, aby uzyskać wyniki w pewnej mierze nawet rewelacyjne.

Inaczej Krystyna Grzybowska, która podjęła się trudnego zadania ukazania nowych aspektów na ustaloną i niemal uświęconą tendencyjną interpretacją biografię Mickiewicza. I tu i tam objawił się nam jednak nowy Mickiewicz. Trzeba przy tym przyznać, że „obrona Maryli" przeprowadzona przez Grzybowską, nie ukazała nam poety bynajmniej w gorszym świetle, lecz przeciwnie — sublimując jego poetyckość i rzucając ją na tło normalnych, ludzkich stosunków i charakterów, była ciekawym przyczynkiem do lepszego rozumienia skomplikowanej osobowości każdego nieprzeciętnego twórcy.

Grzybowska wykazała, jak wielka istnieje przepaść między ludźmi z krwi i kości, a postaciami z dzieł pisarza ,którego wypowiedzi będą interpretowane dosłownie. Koncepcje Grzybowskiej były jednak na ogół literackie i niepoparte metodą krytyczną. Czystą metodą były za to wywody prof. Górskiego, który usiłował w oparciu o III część „Dziadów" i głęboką analizę t. zw. „improwizacji" stworzyć podstawy pod nowe rozumienie tego najgłębszego utworu Mickiewicza. Przede wszystkim prelegent podważył teorię mówiącą o improwizacji jako o obrazie toczących się w chwili pisania zmagań duchowych Mickiewicza. Przekonywujące argumenty prelegenta ukazały nam ten utwór Mickiewicza jako skrót ogólnoludzkiego dramatu, będącego reminiscencją przełomu, któremu uległy poglądy poety już poprzednio. Ten dramat, nawiązujący zdaniem Górskiego do starożytnego prometeizmu Ajschilosa, a nie do nowoczesnych interpretacyj tej wiecznej idei, wmontowany został jedynie w historyczny dramat polskiej myśli patriotycznej, jakim jest III część „Dziadów".

Jak wynika z tej pobieżnej relacji, Klub Literacko-Artystyczny w Bydgoszczy w trosce o popularyzację literatury nie ucieka się do łatwej i „chwytliwej" metody wieczorów autorskich. Tłocząca się na wieczorach publiczność bydgoska jest dowodem na fakt, że nie samo tylko nazwisko prelegenta, ale i sama literatura, choćby najbardziej już klasyczna, pociąga ja i pasjonuje.

K.

Przed jubileuszem Adama Grzymały-Siedleckiego.

Zawiązał się w Bydgoszczy Komitet Obywatelski celem uczczenia jubileuszu 50-lecia pracy pisarskiej Adama Grzymały-Siedleckiego. Program obchodu przewiduje dnia 20 lutego br. uroczystą „środę literacką" poświęconą twórczości jubilata. Następnego dnia odbędzie się w Teatrze Polskim prapremiera nowej sztuki Grzymały-Siedleckiego pt. „Ludzie są ludźmi", połączona z głównymi uroczystościami jubileuszowymi.

Teatr

Dnia 11 stycznia b. r. Teatr Polski obchodził jedną ze swych najbardziej podniosłych i wyjątkowych uroczystości — siedemdziesiątą rocznicę pracy scenicznej Ludwika Solskiego. W całym kraju odbyły się akademie poświęcone olbrzymim zasługom niestrudzonego i wielce poważanego nestora sceny polskiej. Teatr bydgoski przyłączył się również do powszechnego hołdu. Akademia, poświęcona czci znakomitego Jubilata, poprzedziała premierę „Sprawy Moniki" przy wypełnionej sali teatru, która entuzjastycznie manifestowała swe uczucia na cześć Ludwika Solskiego. Reż. Zofia Modrzewska z pięknie udekorowanej sceny, na której zgromadził się cały zespół Teatru Bydgoskiego, wygłosiła przemówienie, obrazujące w sposób rzeczowy i zwięzły wieloletnią pracę i niezwykły talent najstarszego aktora Polski. Wśród atmosfery głębokiego skupienia i powagi upłynęły chwile, które skierowały myśli wszystkich słuchaczy do stolicy podwawelskiej, gdzie dostojny Jubilat kreował nową rolę dziadka Onufrego Ciaputkiewicza w „Grubych rybach" Bałuckiego.

Sztuka Morozowicz-Szczepkowskiej przenosi widza w świat kobiecej psychiki, odsłaniając najgłębsze pokłady jej duszy, na dnie której spoczywa zawsze silna i żywa dyspozycja do miłości, połączona z instynktownym pragnieniem macierzyństwa. Jednakże autorka, odsuwając właściwy nurt życia poza scenę, w sposób niedostateczny podkreśliła ścisłą więź, łączącą zjawiska życia psychicznego z konkretną rzeczywistością. Utwór, którego konwencjonalną treść stanowi zawiedziona miłość Moniki do niewiernego męża (Jurek), zawiera właściwie udramatyzowaną kronikę wrażliwej niewieściej duszy, subtelnej i tkliwej, ofiarnej i szlachetnej, ale odczutej sercem kobiety, skłonnym do idealizacji.

W sztuce biorą udział tylko trzy kobiety, których istotnym przedmiotem zainteresowania decydującym o kierunku ich życia, jest mężczyzna. Ow „on" niewidoczny wprawdzie, lecz mimo to napełniający swą „podłością" atmosferę życia, rozgrywającego się na scenie, tonie we mgle ponurej i posępnej tajemniczości. Luka psychologiczna, jaka dzieli Monikę i jej męża sprawia wrażenie, że cała ta, starannie wystylizowana literacka koncepcja, unosi się ponad powierzchnią życia, którego odgłosy brzmią jedynie niewyraźnym lecz smutnym echem w enuncjacjach uwiedzionej Antosi. W tej śmiałej inwektywie na „niewierny ród męski" jest coś z kobiecego urazu, nadającego utworowi charakter raczej pamfletu niż satyry.

„Biedną i nieszczęśliwą" kobietę stawia autorka wobec dylematu: szczęście domowego ogniska, czy też wyłącznie praca zawodowa i wobec chronicznej niewierności męskiej przechyla się na stronę drugiej ewentualności. Pomijając fakt, że dylemat powyższy istnieje jedynie w pojęciu autorki, „Sprawa Moniki" jest wypadkiem tak dalece szczegółowym, że wszelkie uogólnianie byłoby świadomym błędem logicznym, u którego źródeł leży bunt urażonej kobiecej ambicji.

Na powyższych wszakże przesłankach zda się opierać w sztuce Szczepkowskiej kontrast psychologiczny, jaki zarysowuje się między Moniką i Anną. Monika głęboka i namiętna w uczuciu marzy o szczęściu domowego ogniska i jest wzorem kobiety-matki, predystynowanej do spełniania swej przyrodzonej misji życiowej. Anna to typ nowoczesnej emancypatki, trzeźwej, o umyśle przenikliwym, nie ulegającym kaprysom sentymentu i złudzeniom „wiecznej miłości", w którą zawiedziona nie wierzy, dostrzegając cel swego życia w konstruktywnej naukowo-społecznej pracy. Niewątpliwie Monika wskutek rozczarowania w miłości ulegnie podobnej ewolucji, o czym zresztą mówi zakończenie utworu.

Brak bezpośredniej akcji, zastąpionej dyskusją, nadaje utworowi charakter komentatorsko-sprawozdawczy, przypominający przewlekłe relacje heroldów z antycznego dramatu.

Wdzięczne zadanie reżysera wypełniła Z. Modrzewska z powodzeniem. Wątek dramatyczny, zaakcentowany z umiarem przez reżysera, odtworzony został przez Bąkowską, Niczewską i Barczewską w sposób, nie pozostawiający wiele do życzenia. Bąkowska głęboko wzięła sobie do serca „sprawę" Moniki i przeżyła jej tragedię sugestywnie i szczerze. Niczewska (Anna) wykazała wielką naturalność i swobodę wyrozumiałego mentora, pełną dystynkcji i wewnętrznego spokoju i w odpowiednich momentach doskonale oddała ton złamanego kobiecego serca. Barczewska (Antosia) z werwą i temperamentem grała rolę „dziewczęcia" z ludu, zdemoralizowanego w środowisku mieszczańskim, które wtrąciwszy ją w otchłań upadku, nauczyło przebiegłości i cynizmu.

Mimo wszystko dobra gra zespołu artystycznego nie zdołała wynagrodzić zasadniczych mankamentów, widocznych tak w treści jak i w formie utworu. Intymne grzebanie się we wnętrzu duszy kobiecej, celem wydobycia z niej namiętnych tęsknot, osnutych na indywidualnym fakcie, przestało stanowić samo dla siebie problem. Zwietrzało z biegiem życia pod presją ważniejszych i bardziej istotnych zagadnień.

Aleksander Dzienisiuk.

Muzyka

Pomimo znacznych trudności, a zawdzięczając ogromnej energii kilku zaledwie osób, dobiega końca remont Domu Sztuki i budowa sali koncertowej w Bydgoszczy. W Domu Sztuki skoncentruje się życie muzyczne Pomorza, a wielka rocznica 600-lecia istnienia miasta Bydgoszczy da okazję do sprowadzenia szeregu najlepszych artystów polskich na koncerty publiczne.

W ramach audycji muzycznych zapozna się społeczeństwo pomorskie z rozmaitymi kierunkami i stylami muzycznymi polskimi i obcymi, od najdawniejszych do najnowszych czasów.

Przewidziany festival muzyki polskiej da przegląd częściowy muzyki polskiej, włącznie z ostatnimi osiągnięciami artystycznymi. Wystąpią w festiwalu: orkiestra symfoniczna, znani soliści, chóry i zespoły kameralne.

Konkurs chórów pomorskich da asumpt do zwrócenia uwagi na tę wspaniałą gałąź muzyczną, nadzwyczaj potrzebną, umuzykalniającą i mającą wspaniałe widoki rozwojowe na Pomorzu, właśnie na Pomorzu, posiadającym kult do muzyki zespołowej.

Wszystkie więc zespoły chóralne pomorskie powinny we własnym, dobrze zrozumianym interesie, zabrać się do solidnej i wytężonej pracy. Konkurs będzie rozpisany w najbliższym czasie za pośrednictwem Związku Śpiewaczego w Toruniu, a odbędzie się najprawdopodobniej pod koniec sierpnia br.

Dbając o dobro kultury muzycznej, społeczeństwo bydgoskie, poparte przez najwyższe czynniki państwowe z ob. Wojewodą i Woj. Radą Narodową na czele i wszystkie związki artystyczne pomorskie — wystąpiły do Ministra Kultury i Sztuki z wnioskiem o utworzenie na Pomorzu wyższej szkoły muzycznej, kształcącej zawodowo najbardziej uzdolnionych i rokujących większe nadzieje na przyszłość adeptów sztuki muzycznej pod kierunkiem najbardziej znanych fachowców, sprowadzonych z najrozmaitszych ośrodków muzycznych Polski. Minister przychylił się do prośby społeczeństwa i obiecał uczynić wszystko, co będzie w jego mocy, by wyższą uczelnię stworzyć.

W interesie Pomorza leży, by ta uczelnia jak najrychlej powstała.

J. J.

Radio

Po pokonaniu trudności organizacyjnych, zarówno w sensie technicznym, jak i administracyjnym, Polskie Radio wkracza w okres normanej, planowej pracy w warunkach pokojowych. Okres ten rozpoczyna od skupienia całej uwagi na treści i poziomie programu, stanowiącego istotę działalności Radia.

Pod tym hasłem odbył się w Bydgoszczy w dniach 9—10 stycznia br. dwudniowy zjazd czterech rozgłośni Polskiego Radia, a mianowicie: Gdańska, Szczecina, Poznania i Bydgoszczy, z udziałem zaproszonych przez miejscową Dyrekcję przedstawicieli społeczeństwa pomorskiego, a więc reprezentantów szkolnictwa, Związków Zawodowych, instytucji społecznych i organizacji politycznych.

Po krótkim zagajeniu obrad przez Dyrektora Okręgu Pomorskiego, Kańskiego, który podkreślił doniosłość konferencji dla rozwoju i usprawnienia działalności Polskiego Radia, Dyrektor Programu Naczelnej Dyrekcji Polskiego Radia w Warszawie, Młynarski, w wyczerpującym i wszechstronnie ujętym referacie przedstawił zebranym cel zjazdu, historię rozwoju radiofonii polskiej, a następnie charakterystykę nowego programu ramowego wchodzącego w życie z dniem 1 marca br.

Polskie Radio jako instytucja, w której programie wszelkie przejawy życia zbiorowego znajdują zawsze najwierniejsze odbicie, stawia sobie za cel nietylko uwzględnianie w swym programie aktualnych zagadnień życia kulturalnego, gospodarczego i politycznego kraju, ale i wciąganie do współpracy całego społeczeństwa, które przez rzeczową — nawet najbardziej surową — krytykę przyczynić się może do ułatwienia zadań nałożonych na Radio przez potrzebę chwili. A zadania te są bardzo poważne i rozległe: radiosłuchacz oczekuje dziś od głośnika nietylko wiadomości z kraju czy zagranicy, nietylko rozrywki i odprężenia po pracy, lecz traktuje radio jako czynnik odbudowy zdewastowanej dziedziny kultury i sztuki polskiej ,jako środek dostarczający mu podniet artystycznych, jako nauczyciela i wychowawcę. — Dlatego też, kierując się koniecznością zaspokojenia w tych dziedzinach potrzeb większości radiosłuchaczy (zadowolenie wszystkich słuchaczy w praktyce nie jest osiągalne) Dyrekcja Polskiego Radia wprowadza w nowym programie ogólno-polskim, nadawanym z dniem 1 marca już od godz. 6 rano, następujące zmiany:

- ograniczenie audycji informacyjno-propagandowych i zgrupowanie ich w półgodzinne bloki, zawierające nie tylko wiadomości, ale i odpowiednie komentarze;
- podawanie słuchaczom wycinków z życia „na gorąco" w formie reportaży dźwiękowych;
- uwzględnienie w szerokim zakresie audycji literacko-słuchowiskowych, popularnych audycji naukowych prowadzonych w formie dostępnych dla szerokich mas wykładów najwybitniejszych przedstawicieli świata nauki z zakresu historii, literatury, ekonomii, biologii, medycyny, chemii, wynalazków itd.

Z cyklu audycji podyktowanych potrzebą chwili Polskie Radio nastawia swój nowy program na popularyzację zagadnień morskich, osadniczych, rolniczych itd.

Nowy program cechuje wydatne zwiększenie audycji muzycznych prowadzonych pod kątem widzenia umuzykalnienia mas i wyrobienia w nich smaku artystycznego. Inowacją będą t. zw. ,,koncerty literackie "stanowiące powiązanie elementuu muzycznego z recytacjami utworów poetyckich czy prozy.

Nowy program ogólno-polski w odróżnieniu od dotychczasowego o charakterze raczej informacyjno-propagandowym obfitować będzie w wartości artystyczne i kulturalne. Będą się na niego składały prócz Rozgłośni Centralnej wszystkie radiostacje regionalne, wnosząc doń swe najlepsze wartości.

Zachowując dotychczasowe zdobycze i doświadczenia, a usuwając dotychczasowe wady, nowy program służy interesom szerokich warstw narodu polskiego i zadanie to wypełni z pewnością w oparciu o współpracę całego społeczeństwa jako czynnika doradczego.

Po referacie Dyrektora Młynarskiego wywiązała się na sali obrad ożywiona dyskusja. Podkreślając z uznaniem wysiłki Polskiego Radia w kierunku dostosowania programu do wymogów życia powojennego, przedstawiciele społeczeństwa domagali się udzielenia rozgłośniom regionalnym jak największej autonomii programowej, nadania programowi lokalnemu Rozgłośni Pomorskiej wyraźnego oblicza regionalnego z zaakcentowaniem momentów doniosłych nie tylko dla prastarej ziemi pomorskiej, ale dla całego kraju, a następnie udostępnienia tej doniosłej zdobyczy, jaką jest radio, jak najszerszym masom przede wszystkim ludności wiejskiej i osadniczej. Wypowiedzi przedstawicieli szkolnictwa podkreślały znaczenie radia jako pomocy naukowej w wychowaniu młodzieży szkolnej, do której radio przemawia lepiej, niż najlepszy podręcznik. W obecnych ciężkich warunkach powojennych program radiowy winien służyć pomocą rolnikowi, na którego barkach spoczywa obowiązek wyżywienia kraju; niechże radio systematycznie zapoznaje go z nowoczesnymi metodami pracy, służąc mu na każdym kroku praktyczną radą i wskazówką.

Odnośnie interesującego wszystkich w programie radiowym pytania: słowo czy muzyka? wypowiedzi były zgodne: jak najwięcej muzyki, raczej lekkiej, lecz dobrej, jak najwięcej utworów polskich, aby pieśń polska rozbrzmiewała wszechwładnie nad germanizowanym konsekwentnie Pomorzem, nad Polskim Wybrzeżem i nad Ziemiami Odzyskanymi na Zachodzie. Jako moment doniosły podkreślono konieczność pozyskania dla Radia młodych talentów.

Zgodnie również zaakcentowano potrzebę humoru w audycjach radiowych: humoru celowego, rozjaśniającego człowiekowi pracy jego pełen troski dzień.

Wypowiedzi społeczeństwa przyjęte zostały przez reprezentantów Polskiego Radia jako cenny materiał i drogowskaz w pracy na przyszłość rozwijającej się w miarę usuwania przeszkód technicznych spowodowanych brakiem materiałów i fachowego personelu oraz słabym zasięgiem radiostacji (prace przygotowawcze przy odbudowie silnej, przedwojennej rozgłośni w Toruniu są w pełnym toku), w miarę wreszcie postępu radiofonizacji.

Konferencja bydgoska jako trwały dorobek w dziejach radiofonii polskiej zapoczątkowała współpracę Polskiego Radia ze społeczeństwem dla dobra odbudowującej się Polski.

Leokadia Gęsicka.

TORUŃ

Literatura

Udział literatów toruńskich w życiu kulturalnym naszego miasta zasadniczo streszcza się w dwóch ogniskach: w miejscowej Rozgłośni Polskiego Radia i w Klubie Literacko-Artystycznym. Tu pisarze toruńscy mają sposobność wypowiedzenia się, tu również dochodzą do głosu, ożywiając środowisko toruńskie literaci zamiejscowi.

Dobór programu jest staranny, poszczególne audycje zastosowane do poziomu słuchaczy o różnej skali zainteresowań. Szczególnie obfity był program naszej rozgłośni w święta Bożego Narodzenia. Toruń stara się nadać swemu programowi charakter regionalny, bądź przez tematy obrane, bądź też przez osoby prelegentów, związanych z terenem. Ta zdrowa tendencja uwydatniła się wyraźnie w audycjach świątecznych. Region chełmińsko-kujawski, którego ośrodkiem promieniującym jest Toruń, ma tak piękne tradycje, że tematów do przeróżnych i urozmaiconych audycyj nie zabraknie nigdy. Tymbardziej, że Uniwersytet im. Kopernika zaznacza już wpływ swój na rozwój kulturalny regionu, zasilając wszelkiego rodzaju poczynania w dziedzinie krzewienia kultury.

Klub Literacko-Artystyczny korzysta chętnie z pomocy kół uniwersyteckich. Związany z Uniwersytetem osobą prezesa, prof. Konrada Górskiego ma żywy kontakt z uczonymi, którzy łączą głęboką wiedzę z walorami literackimi i prelegenckimi. Pierwszy czwartek grudniowy, a 16-ty z rzędu, był właśnie klasycznym przykładem emocjonalnego stosunku uczonego prelegenta do przedmiotu wykładu. Prof. Srebrny mówił o ,,Wyspiańskim a odrodzeniu tragedii". Było coś fascynującego a zarazem do głębi wzruszającego w podejściu prelegenta do tematu. ,,Słowo udramatyzowane" to może najlepszy wyraz, który określa wywody prof. Srebrnego, zamierzające do uplastycznienia omawianej akcji i toku myślenia. Tą drogą słuchacz staje się współtwórcą, przeżywając we wtórnym działaniu to co odczuwa i wypowiada wykładowca.

Tuż przed świętami, 20 grudnia przypomniał, na 17-tym czwartku mgr Bukowski, kraik dziś trochę zapomniany, przez tyle zagadnień aktualnych nieco w cień usunięty, Kaszuby. Tematem odczytu była poezja kaszubska, lecz obejmując i krajobraz i refleksy dziejowe prelegent dał dużo więcej. Recytacje wyjątków z dzieł poetów kaszubskich ożywiły niezmiernie wykład. Ciekawa to rzecz dla nieobeznanych z fonetyką kaszubską, słyszeć z ust rodowitego Kaszuby miękkie a czasem z męska chropowate dźwięki najbardziej odrębnego narzecza polskiego.

Po blisko 4-tygodniowej przerwie świątecznej wznowiono czwartki 17 stycznia odczytem Krystyny Grzybowskiej z Krakowa, p. t. ,,Obrona Maryli". Osoba gościa wzbudziła ogólne zainteresowanie choćby ze względu na to, że w najbliższą sobotę miał Toruń ujrzeć premierę jej sztuki ,,Promieniści". O ile premiera nie zawiodła oczekiwań większości naszych bywalców teatralnych, o tyle sam odczyt, choć przyjęty życzliwie i sam w sobie ciekawy, nie dał emocji spodziewanych.

Ostatni czwartek, 24 stycznia nawiązał niejako do wygłoszonego w ubiegłym sezonie niezapomnianego odczytu prof. Konrada Górskiego o Kasprowiczu. Konrad Śmierniak mówił na temat stosunku Kasprowicza do muzyki, ze specjalnym uwzględnieniem kujawskiej muzyki ludowej. Sam rodowity Kujawianin, pochodzący z Szymborza, wioski rodzinnej Kasprowicza, z wielkim znawstwem opracował temat pociągający wyczuciem melodyki ludowej i jej walorów artystycznych. Odczyt ma być w najbliższym czasie powtórzony w Chełmnie, gdzie tamtejsze Ognisko upowszechnienia kultury i sztuki, pięknie rozwijające się pod kierownictwem ref. M. Ziembińskiej, zorganizowało w dniu 24-go stycznia pierwszy wieczór artystyczny, wzorowany na naszych czwartkach literackich.

Piszący te słowa wygłosił na tym wieczorze odczyt p. t. ,,Chopin i Georg Sand na Majorce" znany już bywalcom śród literackich w Bydgoszczy i czwartków toruńskich. Chodziło o uprzystępnienie słuchaczom kilku rozdziałów naprawdę pięknej książki współczesnego pisarza hiszpańskiego, Jose Maria Salaverria, o Majorce i pobycie na tej wyspie Chopina i jego przyjaciółki. Życzliwa reakcja publiczności chełmińskiej pozwala przypuścić, że cel zamierzony został osiągnięty.

Dobrze rozwijająca się akcja Klubu Litreacko-Artystycznego napotyka na pewne przeszkody natury lokalowej. Klub miał dotąd kolejno siedziby: w Cukierni Artystów, w górnej sali Pomorzanki, w Instytucie Muzycznym, a obecnie wylądował w sali Uniwersytetu. Ta przelotność pobytu bardzo przeszkadza ciągłości pracy i myli publiczność. Kiedy to i owo zaczyna się już ustalać, miejmy nadzieję, że i ta instytucja, bądź co bądź już silnie związana z życiem kulturalnym Torunia, zdoła nareszcie ,,zagrzać miejsce". Są w toku starania o stały lokal w Dworze Artusa. Dobra wola władzy miejskiej i inych czynników decydujących doprowadzi — o ile znaki nie mylą — do ostatecznej stabilizacji. A takie ustalenie warunków jest niezbędne, gdy się chce stworzyć trwałe podstawy pracy kulturalnej. Prowizoria w tej dziedzinie paraliżują wszelką inicjatywę i są hamulcem każdej rzetelnej pracy.

Marian Sydow.

Teatr

Na afisz Teatru Ziemi Pomorskiej weszła druga z rzędu prapremiera sztuki polskiej. Tym razem zaprezentowała się publiczności toruńskiej trzyaktowym utworem dramatycznym na temat romansu Maryli Wereszczakówny z Adamem Mickiewiczem autorka krakowska Krystyna Grzybowska, wnuczka znanego bibliografa Karola Estreichera.

Autorka zajęła się najromantyczniejszym okresem życia Mickiewicza, — miłością jego do Maryli i udziałem w związkach filareckich, przy czym podjęła śmiałą próbę ,,odbrązowienia" Maryli. Grzybowska ukazuje bohaterkę swego utworu jako kobietę poetyczną i egzaltowaną, a zarazem pełną siły duchowej i zdolności do śmiałej decyzji.

,,Marylę — stwierdza autorka — należy rehabilitować i zaprzeczyć, jakoby przeniosła Puttkamera nad Mickiewicza dla pieniędzy. Przeciwnie: ta panna posażna i bogata ratowała — nieco nadwyrężone włości swego męża".

Marylę znamy głównie z ,,Dziadów" i legendy, która daleko odbiega od rzeczywistości i jest dla Maryli krzywdząca. Przedstawia ją bowiem jako pannę próżną, która wyżej stawia majątek i starego męża od młodego lecz biednego poety. Dlaczego, kochając Mickiewicza nie wyszła za niego zamąż? Autorka stara się odpowiedzieć na to pytanie w akcie pierwszym swej sztuki i znajduje następujący argument: Rodzina Wereszczaków chciała koniecznie dotrzymać słowa, danego Puttkamerowi. Wyszła więc Maryla za Wawrzyńca pod presją mamy i braci. Zresztą, możliwości małżeństwa z Mickiewiczem nie brał na serio nikt i sprawy tej nie traktował poważnie przede wszystkim sam poeta. Nie starał się Mickiewicz o pannę, nie oświadczył się o jej rękę, flirtował tylko z Marylą, prowadząc jednocześnie romans z piękną doktorową Kowalską z Kowna. Maryla natomiast żywiła szczere uczucie miłości dla poety, który dopiero po jej ślubie zakochał się w niej na dobre. Wtedy to zaczął się ów romans gorący a tragiczny, dzieje którego sanowią fabułę ,,Promienistych".

Tytuł sztuki nie odnosi się bezpośrednio do znanego stowarzyszenia młodzieży wileńskiej w latach młodości Mickiewicza. Jest on wzięty ze słownictwa Tomasza Zana, który przez promienistość rozumiał dążenie do doskonałości. Trzy główne postacie sztuki to Puttkamer, Tomasz Zan i Maryla.

Przedstawia ich autorka na tle ówczesnej epoki z wszystkimi jej błędami i całym jej urokiem. Kontrastują z nimi ludzie bezmyślni, rozbawieni, nie przeczuwający wagi rzeczy, które się obok dzieją; kontrastuje z nimi postać szambelana, będąca uosobieniem melancholii zbłąkanej na bezdrożach patriotyzmu.

Grozi ta melancholia i Maryli, lecz trafny instynkt każe jej szukać ratunku właśnie u męża. Doskonałość Zana wyraża się w idei poświęcenia. Tomasz Zan był gotów cierpieć za wszystkich, poświęcił się za przyjaciół w czasie procesu i winę brał na siebie. Jego też spotkała najcięższa kara.

Akcja toczy się w dworku tuhanowieckim, w salonie wileńskim, w ciemnej sali pałacu Puttkamerów w Bolcienikach.

Przez scenę przesuwają się znane nam z dziejów literatury osoby jak Edward Odyniec, Tomasz Zan, Wawrzyniec Puttkamer, Jan Śniadecki, Ludwika Śniadecka i wiele innych, z których każda przedstawiona została przez autorkę wyraziście, na podstawie długich studiów historycznych, a jednak z pewną dozą subiektyzmu. Mocno i śmiało postawione postacie — to główny walor sztuki, którą właściwie nazwaćby można obrazem scenicznym, gdyż nie posiada normalnej konstrukcji scenicznej i brak jej żywości akcji.

Sztuka nie jest dramatem. Dramatem rządzą ścisłe prawa i logika, do których trzeba by naginać rzeczywistość. Autorka postawiła sobie zadanie wprost przeciwne: wobec przeszłości zachowuje możliwą wierność, dając jednakże coś więcej niż reportaż. Dramat Maryli, który rozwija się w dwóch początkowych aktach, przecina i na drugi plan usuwa dramat narodu, któremu poświęca akt trzeci.

Autorka chce, aby za nią mówili drudzy, przy tym stara się być możliwie ścisła w podawaniu szczegółów. Wszystkie osoby występujące w sztuce są autentyczne i Rozalka i Gryndzowa i nawet Wasilko. Epizod z panią Kowalską, który ma stanowić skonkretyzowanie stosunku jaki ponoć łączył poetę i te dwie kobiety, możnaby bez uszczerbku dla całości usunąć.

Mickiewicza w sztuce Grzybowskiej nie ma. Ukazuje się tylko na chwilę jako zjawisko, jak cień. Autorka uczyniła to rozmyślnie, gdyż uważała, że tego tytana słowa i wieszcza na scenę wprowadzić nie można, zakrawałoby to bowiem na profanację. A chociaż postać Mickiewicza na scenie się nie pojawia, mówią o nim wszyscy. On jest osią sztuki, jej osobą centralną.

Sztuka Grzybowskiej, odznaczająca się romantyczną nastrojowością, głębokim liryzmem i niezwykłą malowniczością, posiada jednak braki konstrukcyjne, które rażą obok nadmiernej rozlewności słowa i zbytniej drobiazgowości kobiecej, co w sumie utrudnia klasyfikację utworu. Rzecz sama interesuje rewelacyjnością tematyki, umiejętnym nawiązaniem konfliktów i zręcznym przeprowadzeniem dialogów, przy czym autorka nie szczędzi efektów scenicznych.

,,Promienistych" wystawiono w Teatrze Ziemi Pomorskiej z ogromnym pietyzmem, nie szczędząc trudu ni kosztów. Rzecz wyreżyserował nadzwyczaj starannie dyr. Wilam Horzyca, a wspaniałe dekoracje stworzył artysta-malarz Torwirt. Opracowanie muzyczne spoczywało w ręku A. Gajdeckiego, który w myśl życzeń autorki przeplótł akcję melodią ,,Filona", wygrzebaną ze starych nut, podług której śpiewano go za czasów Mickiewicza na Litwie. Niezwykle liczny zespół aktorski (20 osób) wystąpił w kosztownych, stylowych kostiumach, specjalnie dla tej prapremiery szytych w pracowni teatru. Prócz zespołu aktorskiego znalazł się na scenie barwny tłum statystów, co całości dodało ruchu i malowniczości. Rolę Maryli wspaniale

kreowała utalentowana młoda artystka Irena Maślińska, która swą dystyngowaną grą poważnie przyczyniła się do powodzenia sztuki.

„Promieniści" weszli po raz pierwszy na scenę w teatrze toruńskim. Na uroczystą prapremierę przyjechała z Krakowa autorka, której licznie na widowni zebrana publiczność zgotowała serdeczną owację.

Sztukę Grzybowskiej przyjęto entuzjastycznie, a dyrekcji teatru i aktorom nie szczędzono zasłużonych komplementów.

M. Dereżyński

Muzyka

W rozwoju życia kulturalnego Torunia muzyka zajmuje obecnie miejsce poczesne i honorowe. Publiczność zrazu oporna, goniąca za łatwymi efektami zaczyna coraz to systematyczniej uczęszczać na popularne, jak i symfoniczne koncerty. Ze strony muzyków trzeba było w istocie prawdziwego wysiłku i wiary w ostateczne „zwycięstwo", gdy pierwsze koncerty sezonu odbywały się wobec szeregów pustych krzeseł. Z wielką więc radością notujemy fakt, że Toruńska Ork. Symfoniczna Związku Zaw. Muzyków składająca się z 35 członków zyskała już pewnego rodzaju popularność i imprezy koncertowe przez nią urządzane spotykają się z wzrastającym zrozumieniem.

Koncertami, w których programie figuruje Beethoven, Haydn, Mozart, Czajkowski, Bizet i in., kierują na zmianę: zasłużony organizator zespołu, prof. Jerzy Stefan, wnikliwy i doświadczony dyrygent, oraz wykazujący również pewne dyrygenckie zacięcie prof. Ant. Koszykowski. Z pośród solistów należy wymienić: prof. Tomaszewskiego (flet), Z. Czarkowską (sopran), Halinę Otoczko (mezzosopran), Z. Koszelę (baryton) i G. Suchodolskiego (tenor). Dwaj ostatni artyści mają jeszcze do przebycia pewien etap pracy nad sobą.

Najważniejszym muzycznym wydarzeniem styczniowym był koncert muzyki polskiej w wykonaniu Ireny Kurpisz-Stefanowej (fortepian) i Jerzego Stefana (skrzypce). Bogaty, utrzymany na poziomie program zawierał m. in. utwory Chopina, Paderewskiego, Wieniawskiego i Szymanowskiego. W ramach wieczorów czwartkowych toruńskiej Konfraterni Artystów odbywają się stale produkcje muzyczne w wykonaniu miejscowych artystów. Ostatnio produkcjom tym towarzyszyły zajmujące prelekcje objaśniające mgr. Z. Witkowskiego.

Wskrzeszone Pomorskie Tow. Muzyczne, pod którego opieką znajduje się liczący 350 uczniów Instytut Muzyczny, nie wykazało narazie aktywnej działalności nazewnątrz. Projektowane są wewnętrzne wieczory kameralne oraz audycje pokazowe dobrej muzyki — dla uczniów (pierwsza, poświęcona twórczości Chopina w wykonaniu: prof. Wyrzykowska — fortepian, prof. Stefan — prelekcja — odbyła się).

W życiu koncertowym Torunia odczuwa się jedynie wyraźny brak występów gościnnych naszych „sław" muzycznych. Jak dotąd, Toruń słyszał tylko Szpinalskiego i Dubiską. Czekamy na dalszych. Ogółem biorąc, zrozumienie dla spraw muzyki rośnie, tak, że już bliską jest chwila, gdy cały Toruń będzie z zapartym oddechem słuchał np. ...passji św. Mateusza. **I.C.K.**

WŁOCŁAWEK

Stolica Kujaw, Włocławek, sięgający przed wojną liczby 70.000 mieszkańców, w dziedzinie ruchu kulturalnego otrząsa się szybko z katastrofy okupacyjnej. Ostatnie miesiące dowiodły wzmagającego się ożywienia w tym kierunku i przyniosły wraz z wielu kształtującymi się projektami dużo konkretnych wyników.

Pochwalić się Włocławek przede wszystkim może wskrzeszeniem regionalnego muzeum, będącym dawniej jednym z dorobków pracy Oddziału Kujawskiego Pol. Tow. Krajoznawczego. Z dawnego muzeum uratowały się, niestety, tylko skromne resztki. Najlepsza część zbiorów, gromadzonych pracowicie przez pokolenia krajoznawców od roku 1909, uległa niemieckiemu wandalizmowi. To, co przypadkiem ocalało, stało się jednakże zaczątkiem nowej pracy, która już w ciągu kilku minionych miesięcy dała wyniki wielce pomyślne.

Placówką teatralną Włocławka jest w tej chwili Teatr Ziemi Kujawskiej, powstały zaraz po ustąpieniu okupantów z elementów amatorskich. Teatr dał w ciągu ubiegłego roku kilka sztuk z poważniejszego repertuaru, lecz wciąż dotąd nie ma ustalonych podstaw prawnych i jest raczej imprezą prywatną. Zachodzi konieczność reform na tej placówce.

Muzycy włocławscy zorganizowali się w Związek liczący ponad 80 członków. Wielce ważną dla Włocławka placówką byłaby Szkoła Muzyczna. Referat Kultury i Sztuki wystarał się o zezwolenie na otwarcie Państwowej Szkoły Muzycznej i o lokal dla szkoły, która miałaby zapewnioną w mieście frekwencję. Niestety, brak funduszów nie pozwala na uruchomienie tej tak bardzo potrzebnej dla miasta placówki.

Dużą żywotność wykazuje Orkiestra Symfoniczna Związku Nauczycielstwa Polskiego pod kierownictwem prof. W. Niwińskiego. Orkiestra ta daje stałe koncerty popularne, planuje w przyszłości powiększenie zespołu i rozszerzenie repertuaru o utwory symfoniczne. Chór „Lutnia" o dobrej tradycji pod batutą prof. P. Bojakowskiego wskrzesił działalność, dając parę niezłych koncertów.

Organizuje się Koło Plastyków. Była już w lecie wystawa obrazów; obecnie przygotowuje się wystawę objazdową po powiecie. Również w stadium organizacji znajduje się Klub Literacko-Artystyczny, który miałby za zadanie uporządkowanie i pielęgnowanie życia kulturalnego w mieście.

Powstała do nowego życia stara w mieście placówka: Towarzystwo Krajoznawcze. Piękny gmach Towarzystwa, zbudowany na kilka lat przed wojną zbiorowym wysiłkiem czynników krajoznawczych i społeczeństwa Kujaw, ocalał, lecz jest wciąż dotąd zajęty na inne cele. Przed wojną gmach ten mieścił bogate zbiory muzealne oraz bibliotekę. Zarząd Towarzystwa przystąpił do realizacji programu działalności krajoznawczej. W dzisiejszych, nowych warunkach posiada on bardzo rozległe możliwości. **Samb.**

OLSZTYN

Ze wszystkich imprez kulturalnych na terenie Olsztyna, cieszy się największym powodzeniem teatr im. Stef. Jaracza prowadzony przez dyr. Stan. Wolickiego. Gmach teatru jako jedyny zresztą niezniszczony, na terenie Prus Wschodnich (postawiony po plebiscycie na Mazurach w roku 1920) zaliczany był do najnowocześniejszych i najlepiej wyposażonych teatrów na terenie Niemiec. Uruchomienie teatru połączone było z dużymi trudnościami. Ludzie trzeźwo myślący twierdzili, że powołanie do życia stałego teatru, obliczonego na 700 miejsc, nie ma sensu w słabo zaludnionym Olsztynie. Do pokonania były trudności natury technicznej: jak uruchomienie zupełnie zniszczonego na skutek braku pielęgnacji centralnego ogrzewania; oraz gospodarczej: jak ulokowanie całego zespołu teatralnego i zaaprowizowanie go. Dyrektorowi Wolickiemu udało się trudności te, przynajmniej częściowo pokonać i teatr został otwarty. Wystawiono dnia 18 listopada 1945 r. „Moralność Pani Dulskiej". Następne sztuki wystawiono, w odstępach mniej więcej tygodniowych: „S. O. S." Kańskiego, „Maturę" Fodora, patriotyczno-patetyczną składankę „Dla Ciebie Warszawo", podobną składankę ku uczczeniu rocznicy Mickiewicza, wieczór recytacyjny p. t. „Od Cyda do żołnierza polskiego", „Marię Stuart" Słowackiego i „Gwiazdora i kinomanki" Wroczyńskiego (farsa ta wystawiana była przed wojną jako „Don Juan na urlopie").

Z artystów na pierwsze miejsce wybija się w zespole olsztyńskim Wł. Surzyński — doskonały i naturalny latarnik w S. O. S., dobry dyrektor gimnazjum w Maturze, bezwzględny Bothwel w Marii Stuart i kapitalnie nadęty amant filmowy w Gwiazdorze. Najsłabiej wypadł z dotychczasowych jego kreacji wieczór recytacyjny „Od Cyda do żołnierza polskiego".

Doskonałą partnerką Surzyńskiego jest Hanna Skarżanka, awanturnica w S. O. S., poprawna Maria Stuart i doskonała gwiazda filmowa w Gwiazdorze. Dużą popularność zyskały: Stanisławska-Lothe jako wychowawczyni klasy w Maturze i jako tryskająca życiem lwowianka w Gwiazdorze, oraz Śnieżko-Szafnalgowa jako przekonywująca Pani Dulska, wiecznie roztargniona prof. Wimmer w Maturze i nadzwyczajna Tecia w Gwiazdorze. W Gwiazdorze debiutował w Olsztynie Kurnakowicz z Warszawy, jako niezrównany dr Łącki.

Pomysłowym i dobrym reżyserem jest p. Milski. Strona dekoracyjna spoczywa w rękach Wiesława Makojnika z Wilna.

Pomimo sukcesów i wyjątkowo dobrej frekwencji teatr stale jeszcze musi borykać się ciężko z trudnościami natury finansowej.

Planowane jest rozszerzenie działalności teatru i na prowincję. Okręgowa Dyrekcja P. K. P. ustosunkowała się do planów dyr. Wolickiego jak najżyczliwiej i można spodziewać się, że w niedalekiej przyszłości część miast powiatowych na Warmii i Mazurach będzie mogła korzystać z teatru.

Kazimierz Reczyński.

WYDAWNICTWA

Publikacje „Instytutu Bałtyckiego"

Wszystkich zajmujących się sprawami morza i Pomorza zainteresuje zapewne poniżej zestawiona bibliografia wydawnictw Instytutu Bałtyckiego w Bydgoszczy.

Wydział Morski Instytutu Bałtyckiego w Gdańsku wydaje **„Komunikaty Gospodarczego Archiwum Morskiego"**. Każdy komunikat ma formę ulotki, zawierającej jeden artykuł. W roku 1945 (wrzesień — grudzień) ukazały się artykuły następujące:

Kulikowski Józef dr. Stan portów w Gdańsku i Gdyni.

Borowik Józef dr. Przedwojenny tonaż światowy i przewozy morskie.

Borowik Józef dr. Radziecka morska flota handlowa i przewozy morskie w ZSRR.

Wojner Jan, Obecny stan polskiej morskiej floty handlowej.

Jabłoński 0. inż. i Brzuszkiewicz T. inż. Wyroby morskiego przemysłu okrętowego w Polsce.

Ocioszyński Tad. Plany żeglugowe Stanów Zjednoczonych.

Ocioszyński T. Ubezpieczenie morskie CMS. w czasie wojny.

Potyrała Aleks. inż. Zagadnienie morskiego szkolnictwa technicznego w dzisiejszej Polsce.

Malecki Ign. dr inż. Zaopatrzenie miast portowych w energię elektryczną.

Ocieszyński Tad. Polska flota handlowa w r. 1939.

Walewski St. mgr. Gdynia, Gdańsk i Szczecin w pracy na rzecz naszego obszaru gospodarczego.

Ocioszyński Tad. Straty wojenne w polskiej flocie handlowej.

Ocioszyński T. Trudności okresu powojennego w światowej gospodarce żeglugowo-morskiej.

W skromnej „serii prac **kartograficznych i statystycznych"** ukazały się dwie ciekawe broszury, które pomimo swej aktualności nie wywołały żadnych artykułów w prasie:

1. Główne liczby nowej Polski. Próba prowizorycznego zliczenia (z mapką Polski).
2. Wielopolski Alfred dr, Bydgoszcz. Nowe zadania i widoki rozwoju.

Wydział Pomorzoznawczy Instytutu w Toruniu uruchomił specjalny **„dział informacji naukowej"**. W dziale tym ogłaszane są, również w formie ulotek, komunikaty, które jednak — jak się zdaje — są prawie zupełnie nieznane dziennikarzom, a przecież tylko dziennikarze potrafiliby je spopularyzować.

Ukazały się dotychczas następujące komunikaty, opracowane przez Bolesława Srockiego (B. S.) i innych autorów.

1. Dzisiejsze pojęcie Pomorza (wrzesień 1945).
2. Główne liczby dzisiejszego Pomorza.
3. Pomorze w terytorialno - ludnościowej strukturze nowej Polski.
4. Sprawa nazw dla województw pomorskich.
5. Sprawa zabytków i pozostałości niemieckich na Pomorzu.

Autorem pięciu powyższych artykułów jest kierownik Wydz. Pomorzoznawczego Bolesław Serocki.

6. **Bukowski** Andrzej mgr. Stan dzisiejszy czasopiśmiennictwa pomorskiego.
7. **Rudnicki M.** prof. dr. Dlaczego Stargard a nie Starogród.
8. **Czaplewski Paweł** ks. Granice zachodnie Pomorza pod koniec X. wieku.
9. **Górski Karol** prof. dr. Łączność Wielkiego Pomorza.
10. **Morelowski Marian** prof. dr. Udział Polski w rozwoju sztuk pięknych na Pomorzu i w Prusach Wschodnich.
11. **Bukowski Andrzej** mgr. Pomorzanie w charakterologii polskiej.
12. **Czapliński Jan** dr. Bałtyk jako podstawa organizacji Państwa Polskiego.
13. **Czaplewski Paweł** ks. Granice diecezji chełmińskiej i jej dekanatów.
14. **Wałęga Stanisław** mgr. Słowińcy Mohikanie Pomorza.

Należy zaznaczyć, że kolportaż tych artykułów-komunikatów wyraźnie szwankuje. O istnieniu ich wiedzą tylko wtajemniczeni naukowcy. Pożyteczny byłby przedruk tych często prawdziwie wartościowych przyczynków naukowych w niektórych przynajmniej czasopismach literackich.

Dr Al. Deruga.

Wydawca: Zespół „Arkony" w Bydgoszczy — Kolegium redakcyjne: Stanisław Brzęczkowski, Aleksander Dzienisiuk, Alfred Kowalkowski, Jan Piechocki, Jerzy Remer, Marian Turwid. Adres Redakcji i Administracji: Bydgoszcz, Sielanka 8. Konto bankowe: Komunalna Kasa Oszczędności miasta Bydgoszczy nr 224.
Prenumerata i kolportaż: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik", Delegatura Pomorska w Bydgoszczy, ulica Jagiellońska 31.
Cena numeru 10,— zł.
Drukarnia Polska, Bydgoszcz, Jagiellońska 19. — E 02121